

KSIĄŻKA

TOW. SZKOŁY LUDOWEJ



BIBLIOTEKA KOŁA T.S.L.
W RZESZOWIE.

TURYSTA Z MUSU.

PRZEZ

J. GORDONA.

TOMIK II.



L w ó w 1873.

NAKŁADEM KSIĘGARNI BODEKA.

Z drukarni Zakładu narodowego im. Ossolińskich,
pod zarządkiem dzierżawcy A. Vogla.

THE UNIVERSITY OF MICHIGAN

1890

I.

Przed pomnikiem J. J. Rouss'a. — Legendy szwajcarskie.

O! i tu — i tam — za morzem i wszędzie,
Gdzie tylko poślę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno i zawsze mi jedno;
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.
Więc już nie myślę teraz, tylko o tem:
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe?...

Nie mogłem się wstrzymać, żeby będąc w Genewie raz może ostatni, nie podążyć na ocienioną topolami wyspę jeziora Lemana, dla oddania pożegnalnej czci ceniom autora *Nowej Heloizy* i tylu innych prac głośnych od bieguna do bieguna.

Nie był to dzień świąteczny, na niebie zawisły chmury, Lemana straciło miłą barwę roztopionego turkusa; dla tego wyspa, czyli raczej wysepka była pustą, i ujrzałem się samotnym przed posągami Jana Jakuba Rouss'a.

Są doprawdy uprzywilejowane na świecie imiona, których brzmienie samo wstrząsa jakimś tajemnym mózgu i serca strunami. Przywołują one wdzięczność lub złorzeczenie, uwielbienie

lub przekleństwo, stosownie do tego, jak się kto zapatruje na ludzi, co je nosili; lecz nigdy głucho i niemo przeminąć nie mogą.

Do szeregu tych rzadkich imion policzam właśnie i owo wiekopomne filozofa genewskiego.

Smutna i świetna zarazem jego przeszłość! Smutna, że za życia tyle ucierpiał; świetna, że ów przyjaciel Polski geniuszem swoim znakomite oddał usługi całej ludzkości. Bolesne zestawienie dwóch sprzecznych uczuć, miłości i żalu! Ta walka siły twórczej z niszczącą wykazała o nieszczęśliwem Rouss'a istnieniu.

Bo jakież to był żywot tego męża?

Urodzony w Genewie w 1712 r., z ojca zegarmistrza, gdy sposobem bardzo prostym, bo siłą własnego talentu wzniosł się nad poziom po wielu ciężkich kolejach i zawodach losu, gdy żywot w niedoli dał mu poznać to, czego nie nauczyłyby go szkoły; — wtedy wystąpił z arcydziełem swojej epoki: *le Contrat Social*. (Umowa społeczna.)

Nie widać w tej książce sztuki, właściwej pisarzom z rzemiosła. Rousseau wyraża się w niej jak każdy, czyli raczej jak każdy chciałby się wyrażać, gdyby zdołał. Wydać w jasnych i trafających do przekonania słowach wielkie myśli, jest udziałem wielkich dusz tylko, nie ścięśnionych paragrafami. Trzeba być samemu na-

technionym i przekonany, aby mózgi przekonać drugich.

Nauka, sama przez się będąc jedynie naśladowaniem, zbliża się do twórczości wrodzonego talentu, ale mu nie sprosta.

Iluz to na świecie, np. w państwie austriackim, mamy doktorów praw tępych na umyśle; gdy żaden z geniuszów, co się pojawili na kuli ziemskiej, począwszy od naszego boskiego Prawodawcy, nie był patentowanym ani plombowanym, i nie można go było posądzić o posiadanie urzędowych dyplomów na to, czego nauczał, a jednak świat na lepszy przeistaczał.

Do liczby tych ostatnich należał i Rousseau.

Otóż dla tego, że do nich należał, i podobnie jak oni walczył, pomówiono go o demagogię, komunizm, rewolucyjność, o czerwoność i inne tego rodzaju zbrodnie, któremi raz obrzucony człowiek — choćby najniwieńniej — już się nigdy oczyścić nie może; a nie mogąc zabronić jego rozumowi być rozumem, podciągnięto go pod paragrafy i wypędzono z Francji. Ciemnota wzięła górę!

Daremnie błagał swej ojczyzny o schronienie, którego obcym nawet nigdy nie odmawiała. Party nędzą, żyjący często na łaskawym chlebie, noszący kaftaniki z flanelowej spodniczki,

którą go wspomogła na ten cel hrabina Epinau, po wszystkich końcach świata szukał przytułku, aż dopóki nie zgaśł w domu p. Girardin'a w r. 1778.

Stare to, lecz trafne zaiste przysłowie, iż nie jest się prorokiem we własnej ojczyźnie!

Teraz dopiero zwłoki Rouss'a spoczywają w pysznych katakumbach paryzkiego Pantheonu, u grobowca jego sterczy jako symbol pochodnia, a obywatele genewscy obchodzą raz na rok uroczyste pamięć swego ziomka, którego prześladowali za życia, stroją pomnik jego w wieńce, chorągwie, kwiaty i weneckie latarki przy odgłosie trąb, strzałów i muzyki, prawią różne oracye, perorują i piszą górne ody.

Umarłemu kadzidło!

Może to i słusznie ktoś orzekł — jakkolwiek względna to słuszność — że nie ma gorszej niedoli, jak mieć umysł wyższy nad przeznaczenie swoje, duszę szerszą nad granicę tem przeznaczeniem objętą; jak być obdarzonym od natury tem orła spojrzeniem, co w wysokim locie od razu zmierzy zbyt ciasną żywota swego obręcz, w której oddychać mu nie podobna, a złamać jej, zdruzgotać nie ma siły.

Wszędzie i zawsze w takim nastroju już mu źle być musi, bo raz wyskoczywszy z tej obręczy, z tych okowów, co mu pierś dławily,

potężne jego i dumne więziły władze, nigdzie właściwego sobie punktu oparcia nie znajdzie, wszędzie się uczuje w nie swojej sferze.

W ciemności nie dość dla siebie ujrzy blasku; a światło słoneczne za nadto światowe jego niedostatki wykrywa — słowem, nie wie, gdzie wybrać dla się miejsce na smutek łaskawe?...

I cóż ztąd za wniosek?

Oto, że ilekroć razy człowiek wyższego talentu, geniuszu, wolności, wychyli skronie na tym padole i naraża się na to, iż cała rzesza nieudolnych i zazdrośników biegnie wrzeszcząc za nim, jak wróble za kanarkiem: — pełni on, mojem zdaniem, ofiarnictwo swego powołania, godne zaiste pośmiertelnej chwały.

Ale zdarza się niestety, że niektóre indywidua odbierając spokój i swobodę żyjącym, nie przebaczą nawet nieboszczykom, co nie myśleli za życia tak jak oni. Najlepszy miałem tego dowód w Genewie.

Wpatrując się w spiżowe rysy Jana Jakuba Rouss'a, przyszedł mi na pamięć wiersz Zygmunta Krasińskiego:

Stoi niewzruszony — trzy gwoździe,
Trzy gwiazdy na nim — ramiona
Jak dwie błyskawice.

I usłyszałem szelest za sobą.

Odwracam się i widzę stojącą czarną postać w trójgraniastym kapeluszu, pończochach i trzewikach ze srebrnymi klamrami. Był to, z odzieży miarkując, ksiądz francuzki, a który z twarzą sztucznie naciągniętą, sfałdowaną uśmiechem ironii, spoglądając przymrużonemi oczyma na posąg, zagadał do mnie napół cichym, syczącym głosem:

— Wydrukować swój życiorys i nazwać go „Spowiedzią”, to tylko Rousseau mógł zrobić!

— To prawda — rzekłem zawiązując rozmowę — w braku konfesyonału wypowiadał się przed światem.

— Świat... ha!.. każdy spiritus in mundus gorąco kąpany. Świat nie dał mu rozgrzeszenia za spowiedź jego, i nie ma władzy rozwiązania grzesznika tam... wysoko. Tylko synowie ducha wiecznego mogą oczyszczać tych, co przyjęli służbę u zepsutego ducha czasu.

— To smutno, mój ojciec — mówiłem dalej — ale nie znając się na kodeksie duchów, wiem tylko, że i św. Augustyn i katolicki Lammartine zwierzali się poufnie światu.

— Co za porównanie... co za porównanie! czy panu wiadomo, iż Rousseau własne swe dzieci do podrzutków oddał?

— Wiem o tem dobrze, lecz studyując „Emila”, gdzie ojcom i matkom wskazuje święte

ich obowiązki, zdało mi się, że obszerne to dzieło jest skreślone krwią piersi jego, i czytałem w niem pomiędzy wierszami na każdej niemal karcie straszną pokutę autora. Oby Bóg mu przebaczył!

— Hm... hm! — mruknął teolog. A któż to rzucił brzydki cień, ubliżający sławie kobiety, w tłumaczeniu swych stosunków ze swą najpierwszą dobrodziejką, panią Warens? To zapewne słynny Jan Jakub przez wdzięczność uczynił za to, że go młodego i bez przytułku miłosiernie do domu przyjęła.

— Przyznaję, że w opisie zdarzenia może zanadto był wierny swoim pamiętnikom, zanadto miłował bezwzględną prawdę; co zaś do dotknięcia osobistości pani Warens, wina ta spada na wydawców pism jego, że ci mając w rękopiśmie jej nazwisko pierwszą tylko oznaczone literą, wydrukowali je całe.

— A cóż pan też powiesz o owej wstążce, kunsztownie pożyczonej u pani, a w chwili niebezpieczeństwa podrzuconej pokojówce? Ha, ha, ha!.. to drobnostka... nieprawdaż? to drobnostka!..

Spojrzałem z ukosa na czarną postać, zawróciłem się i... odszedłem ztamtąd.

Dziś zaś, przypomniawszy sobie o owem spotkaniu po latach wielu, zastanawiam się nad niem.

Nieszczęśliwy Rousseau położył za dewizę na dziełach swoich: *•Vitam impendere vero.*

Poświęcić życie wśród zepsutego świata dla prawdy... Co za zuchwalstwo! Mówić ludziom prawdę... Jakaż to myśl szalona!..

To też Rousseau torując dla się prawdziwą drogę do świątyni sławy, poranił sobie nogi i duszę boleśnie zakrwawił. Przyszło mu nakoniec stronić i kryć się przed potęgą zawiści. Ta zaś nieprzyjaciół ciągle obawa zamieniła się wreszcie przy jego wrażliwym temperamencie, w urojenie. Odtąd widział na każdym kroku czarną tylko intrygę, wymierzoną przeciw sobie, i mniemał, że wszystkie moce piekielne sprzęgły się na ziemi przeciw niemu.

A w gruncie rzeczy zawiść, czepiającą się niby ujemnej strony Rouss'a, szczytny jego talent, ten najwyższy dar Stwórcy, ścigała. Współcześni z nim pisarze bardzo w tym razie zdradzili swe tajemne chęci. Lecz są to dawne dzieje! I Krasicki, głęboki znawca serc ludzkich, dobrze je ocenił, kiedy w jednej ze swych bajek mówiąc, że był stary, co nie zrzędził itd., kończy nareszcie:

Był autor, co się z cudzej sławy weselił..

Wszystko to być może,

Jednakże ja to między bajki włożę.

Nic tyle nie zaszkodziło filozofowi genewskiemu, ile ta jego spowiedź przed światem, a nie przed konfesyonałem, będąca wątkiem mojej z księdzem w pończochach rozmowy.

W niej widać cały rozwój, ód lat niemowlęcych życia człowieka, który dla zyskania lepszego bytu nie zaprzedał możnym sumienia.

W ostatnich wiekach ta stoicko-chrześcijańska teoria swobody człowieka, ograniczeniem jego potrzeb zdobywana, zapoznaną została. A przecież jest ona najskuteczniejszą tarczą przeciwko szerzącemu się zepsuciu; ci zaś, co ją przyjęli, czerpią z niej moc wielką, bo stają się niezależnymi.

Większa część służebnictw, wyradzających jeno zdolności lokajskie, większa część pochlebstw, obrzydłego lizusowstwa, upodzeń i upadków ludzkich pochodzi z nałogów zbytku, próżności i cielesnego ropieszczenia.

Kto potrafił pokonać ciało i nadać mu hart potrzebny, ten się wyzwolił z pęt materializmu, nabył potęgi, wyższej nad potęgę grosza i władzy, nie zbrudzi się dla zdobycia sobie kapłona z truflami, i nie zdradzi powierzonej mu sprawy za złoto tyranów — jak to nam świeżo pokazał nasz ziomek ś. p. Jarosław Dąbrowski.

Taki stokroć jest większym panem, niż milionowy smakosz, co się lęka bardziej o to, żeby mu brzuszek nie opadł, niż o utratę dobrego imienia.

Lecz wracając do „Spowiedzi” Rouss’a, która mu była szkodliwą — jakież ztąd sens moralny?

Oto, iż nie godzi się żadnemu genialnemu autorowi, na którym ciąży ważne posłannictwo do spełnienia, pospolitować wszystkich swych przygód zakulisowych, a to przez wzgląd na dobro publiczne. On, jako jednostka, jako człowiek prywatny, mało ma znaczenia; życie jego osobiste, ta kwestya sumienia, do nikogo nie należy; jest ono między nim a Bogiem! Ale za to pisma jego są własnością publiczną, i jako takie ulegają sądowi każdego.

Dla tego, skoro kto ma odwagę cywilną wystąpić w charakterze pisarza, powinien szanować siebie w społeczeństwie, i być nader oględnym w dostarczaniu mu literackiej strawy, jeżeli chce, żeby go to społeczeństwo poszanowało.

Spowiedź zatem publiczna, podobnie jak i szklanny domek, który pragnął mieć Cicero, nie przystoi dla geniuszów, ze względów jedynie światowych; gdyż zaczajona na stronie złośliwość i obłuda śledziłaby przez teleskop dro-

biazgowych jeno ułomności tych wybranych ludzi, aby zagłuszyć niemi przed światem doniosłość ich przeważnej strony dodatnej.

Wszak nikt nie zaprzeczy, że nawet na słońcu są plamy, tudzież, że brysie warczą i na mękę Pańską*)!..

*) Autor wspominając o J. J. Rousseie i w poprzedniej książce swojej («Gdy się było młodym».) drukowanej częściowo i w «Sobótce» poznańskiej, zrobił zapytanie, dla czego nie kanonizowano Rousse'a, lecz mistrzów Świętej Inkwizycyi?... Odnośnie do tego spotykamy się z artykułem Tygodnika Wielkopolskiego z d. 16 grudnia 1871. Brzmi on jak następuje:

— Ferdinand Hiller wydał przypisane cesarzowej Auguście dziełko «Aus dem Tonleben unserer Zeit», z którego jako kurjozum prorocze przytaczamy następujący ustęp: «Być może — pisze autor — że przyjdzie kiedyś ten czas, w którym kalendarze nasze zamiast wykazywać rozliczne imiona mężów świętych, o których życiu i czynach najprawowierniejszy nawet nader szczupłe tylko miewa wiadomości, — naznaczą dni urodzenia i śmierci mężów tych, którzy na rozwój kultury w najrozszerzonym tego wyrazu znaczeniu najwybitniejsze wywierali wpływy. W takim razie zapiszemy, my Niemcy przynajmniej,

Z Szwajcaryi, tego mrowiska cudzoziemców, którzy zjeżdżają się tam na wiosnę, a najwięcej na jesień, każdy przynosi potem coś w domowe progi: ten niezabudkę uszczkniętą na skale, gdzie dostał zawrotu głowy Manfred, lub rysunek jakiego mostu nad przepaścią np. diablego; ów opis górskiej przyrody, która głównie ujarzmia uwagę wszystkich wędrowców; inny wspomnienia swych szalonych wycieczek i różnych przygód dramatycznych; ostatni nakoniec powraca z narzekaniem na spleen, co wszędzie szedł z nim, urągając się z niego.

Ale rzadko między pamiętkami tych panów podróжных można napotkać legendy i podania, na których atoli Szwajcaryi nie zbywa.

Rzadko z nich kto, będąc zagłuszony kaskadami, eolską muzyką wiatrów i szumem potoków, przysłuchuje się tam opowiadaniom dawnych dziejów przez wieśniaków, zebranych w dzień świąteczny na balkonach, otaczających malowniczo ich chaty.

pod datą 17 grudnia: «Ludwik von Beethoven». — Coś podobnego, jeżeli nie bardzo się mylimy, pisał nasz Gordon o Janie-Jakubie Rousseau i zciągnął na siebie gromy naszych jezuitów — Taki też los czeka niezawodnie p. Ferdynanda Hillera, a książka jego pójdzie na «Index».

A jednakże ich tradycje, owe legendy zamglone czasem, których bohaterowie powstają ze zwalisk feudalnych zamczysk, starożytnych klasztorów i gotyckich katedr, mieszczą w sobie dużo uroku, i jako historyczne fakta przez lud upoetyzowane, charakteryzują ten masy, a od pięciuset lat niepodległy krain.

Dziwi mię tylko, że diabeł tak często w tych legendach odgrywa rolę, pomimo wpływu na lud duchowieństwa; prawdziwy diabeł! słowem taki, jak go nam przedstawiały niańki; a czemu nie anioł?...

Cokolwiekbaż, niech mi wolno będzie przytoczyć z nich niektóre.

I tak, wśród zielonej niwy, zwanej Engadine, opowiadają o zdarzeniu, jakby wyjętem z jakiej tragedji klasycznej.

Kasztelan Gardowal, uderzony urodą młodej wieśniaczki, rozkazał swoim zbirom przyprowadzić ja do siebie.

— Poczekajcie! — rzekł jej ojciec do łuczowników, którzy po nią przyszli — poczekajcie do jutra, a sam przywiędę moję córkę jasnemu panu.

Na tę obietnicę oddalają się strzelcy, włóścianin zaś biegnie do swych sąsiadów i oznaj-

nia z przerażeniem o niecnym zamiarach dumnego kasztelana, błagając o pomoc.

Przyobiecują mu ją wszyscy.

Powraca tedy do domu, i nazajutrz o wschodzie słońca włożywszy na się niedzielną odzież, każe dziewczęciu przybrać godowe szaty, jak do ślubu, przypiąć bukiet świeżych kwiatów do łona i wieńcem przystroić pogodne czoło; potem podaje jej rękę i prowadzi do zamku.

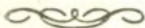
Krewni i przyjaciele stanowią ich orszak weselny.

Kasztelan postrzega przez okno przedmiot szalu swojego, piękną wieśniaczkę i tak wyświeżoną! biegnie więc na jej spotkanie; lecz w chwili, gdy ją ma objąć w ramiona, nieszcześliwy ojciec wyciąga z ukrycia pugińal i przeszywa nim pierś zuchwałego magnata.

Inni włościanie, zagrzani przykładem, wyciągają z pod sukien miecze, wpadają do zamczyska, mordują drabantów jasnego pana; a uprzątąwszy się z nimi i we krwi utopiwszy poddaństwo, zatykają na najwyższej baszcie zamkowej sztandar wolności.

I od owej chwili cały klucz dóbr kasztelania został wyzwolonym od tyranów.

W powyższem podaniu o gwałcie i zemście, które zazwyczaj chodzą z sobą w parze, w podaniu mającem zresztą nieco związku z historią helweckiego oswobodziciela Wilhelma Tella, nie pokazał się wprawdzie jeszcze asmodeusz, lecz za to obaczmy go niezawodnie w następujących legendach.



II.

Złe duchy i święci Pańscy. — Piłat Poncki.

I rzekł Bóg: »Niech się stanie
światło!« i stało się światło.
I ujrzał Bóg, że światło jest dobre,
i oddzielił światło od ciemności.

Żył był swojego czasu w Szwajcaryi rycerz, pan możny i dobroczynny, nazwiskiem Bernard Stretlingen. Każdodziennie biedacy kantonu gromadzili się u wrót jego, a żaden z nich nie odszedł bez wsparcia.

Raz podczas długiego zimowego wieczora usłyszał, jako do furty zakolataną; gdy zaś poszedł sam ją otworzyć, postrzegł jakiegoś nieszczęśliwca obdartego, szcękającego zębami od zimna, i proszącego o trochę odzieży, aby mógł ukryć swą nędzę.

Litościwy Bernard wprowadza go tedy do swego mieszkania, a chcąc go u siebie przemocować, daje mu do przykrycia się płaszcz leżący na podorędziu. I dzieje się, iż po kilku godzinach nieznajomy niknie wraz z płaszczem.

Owym mniemanym żebrakiem był, rozumie się nikt inny, tylko czart w ludzkiej skórze, który powziąwszy zamiar nadużyć miłosierdzia bogacza, aby zniecierpliwic go i pokusić na złe, zabrał mu w zimie jego najcieplejsze odzienie. Lecz rezygnacya i pobożność tego ostatniego były niewzruszone. Ilekroć razy doznał smutku, lub zawiódł się na tych, którym świadczył dobro, polecał zawsze ducha swojego opiece św. Michała archanioła i trwał w niesieniu pomocy ubogim.

W końcu dla zjednania sobie niewątpliwie łaski nieba za przyczynieniem się owego świętego, którego obrał był sobie za patrona, postanowił odbyć pielgrzymkę na cześć jego.

Michał archanioł wybudował ponoć kościół na górze Gargano. Gdzie jest ta góra? zapewne nikt nie wie, ale bogobojny Bernard wiedział o niej dobrze i ku niej skierował kroki. Przed opuszczeniem atoli domowej zagrody rozłamał pierścionek ślubny na dwa kawałki, i jeden z nich wręczył swej żonie, mówiąc: Przrzecz mi zostać wierną przez pięć lat, a jeżelibym w tym przeciągu czasu nie powrócił i nie przyniósł ci drugiego kawałka, będziesz wolną wstąpić w nowe śluby małżeńskie.

Godna połowica rozplakawszy się przysięgła, iż uczyni zadość jego życzeniu.

Rycerz nadziewa opończę z kapturem, a wzięwszy kij pielgrzymi, przybywa do celu swej podróży, tam pada na kolana w świątyni archanioła i śle mu dziękczynne modły; po spełnieniu zaś swego wotum, zawraca się, z ulgą na sercu, pokrzepiony na duchu, z powrotem w rodzinne strony.

Alisci przypadek zrządził, iż w trakcie drogi chwycili go niewierni, skuli w łańcuchy i zamknęli na wieży, gdzie przepędził w cierpieniach cztery lata, napróżno błagając litości u swych katów. Aż na domiar niedoli, gdy jednego ranka dorachowywał dni nieobecności u siebie, postrzegł zatrwożony, iż pięć lat, w ciągu których małżonka miała czekać na niego, już upłynęły. Co tam się z niebogą dzieje?...

Wstrząśnięty złowróżbemi domysły, legł krzyżem na więziennych kamieniach i gorące zanosił westchnienia do swego patrona o wybawienie go z tak wielkiego nieszczęścia.

Naraz postrzega w rogu kaźni dziwaczne widziadło, w płaszczu po kostki.

Czy mnie nie poznajesz? pyta ono rycerza. Przypomnij sobie, jak raz w tęgie mrozy zawitałem był do ciebie po jałmużnę i ukradłem tę odzież. Wziąłem ją w nadziei zniechęcenia

cię do dobrych uczynków. Atoli na ten raz, choć jestem stary i szpakami karmiony diabeł, przegrałem sprawę z kretesem. A co najgorsza, że z rozkazu skrzydlatego Michała, a potężnego mi wroga, muszę cię wynieść ztąd na własnym karku i dźwigać aż do murów twego zamczyska. No! ruszaj się i włącz mi na barki, a trzymaj się za rogi!...

Zdumiony zjawiskiem rycerz zrobił znak krzyża św., gdy diabeł zadrżał z boleści; następnie ośmieliwszy się dosiadł szatana, ten zaś popędził z nim lotem strzały przez pustkowią, aż dopóki nie postawił go u progu jego mieszkania.

Był zaś czas wielki ku temu.

Żona bowiem Bernarda skrupulatnie dopełniła obietnicy. Ta nowa Penelopa przez pięć lat unikała wszelkiej pokusy; lecz na początku szóstego roku tak się już nieboracze wdowi stan naprzykrzył, że oddała rękę innemu.

Już weselne gody były przygotowane, goście zgromadzeni, i pan młody prowadził do stołu narzeczoną, gdy Bernard wstąpił do sali.

Podszedł on niepostrzeżony pocichu ku swej żonie i cisnął do czaszy, stojącej przed nią przy uczcie, zachowaną połówkę ślubnego pierścionka. Na ten widok wydała okrzyk radości,

potoczyła wzrokiem, i rzuciła się w objęcia prawego męża.

Legenda ta prosta, moralna, jak i obyczaje szwajcarskie, nie posiada cechy brylantowych pałaców wschodu, ani też polskiej rycerskości; pokazuje się tylko z niej, że nie taki diabeł straszny, jak go malują.

Podania religijne Szwajcaryi mają dużo podobieństwa do tradycyi niemieckich i francuzkich pod względem ich cechy dogmatycznej, połączonej z mistycyzmem. Opiewają one na przykład: założenie manasterów; cudowne początki fundacyi kościołów; pobożnych zakonników w walce z pokusą światową, wyzwolonych od grzechu śmiertelnego przez szczególną łaskę nieba; karzącą surowo występki Opatrzność itd.

Niektóre legendy sięgają aż do wieków pogańskich. Jedna z nich przedstawia misyonarza osiadłego u brzegu jeziora, z drugiej strony którego koczowali czciciele bałwanów, do których on przeprowadzał się był często dla głoszenia im swojej nauki. Ale gdy pewnego razu wsiadł do czółna i zaledwie odpłynął od lądu w celu nowej wycieczki, gorliwość ta religijna znudziła już czarta, uznał ją za zbytęcną, zgrzytnął zębami i wzniecił ogromną burzę.

Przeziębły misjonarz, widząc się bliskim zatopienia na roz hukanych falach jeziora, tulił się pod rewerendę, polecając ducha Bogu. W tem tak okropny zawył wicher, iż porwał z łodzi mnicha i przerzucił go przez jezioro.

Wypadek ten bałwochwalcy poczytali za cud i nawrócili się; gdy diabeł, zawstydzony swą nieprzezornością, jak czmychnął tak czmycha.

Nastąpił drugi na jego miejsce.

Atoli i ten nie był szczęśliwszym od swego poprzednika w zejściu z biednym węglarzem, któremu ofiarował swoje usługi.

Żona owego węglarza powiła mu syna. Wypadło zatem ochrzcić nowonarodzonego, a przytem wydać biesiadę dla kumów i kumozek, wedle przyjętego zwyczaju. Węglarz podrapał się po głowie, nie wiedząc, jak temu wszystkiemu w braku pieniędzy i kredytu zaradzić. I tak błędził zafrasowany naokoło stawu, przemyślając nad sposobem dostania od szynkarza choć flaszczyny truneczku na przyzwoity obchód ważnej uroczystości.

Aż tu ni z tego ni z owego wysuwa się z rokiciny mały człowiek z haczykowatym nosem, iskrzącemi oczyma, czarno ubrany jak burmistrz. Był to diabeł.

— Wiem, co cię trapi poczciwy Janie — rzekł z politowaniem — i dla tego spieszę na

twój ratunek. Niech sobie źli ludzie co chcą gadają, ale sam powiesz, że inam dobre serce. Otóż zawrzemy przymierze! Będzie wódka, będą szynki, ogórki, zakąski, a wszystko smaczne, wszystkiego obficie. I za to wszystko stawiam tylko skromny warunek: jeżeli podczas uczty kichniesz trzy razy, a nikt nie zawoła: „na zdrowie!”, wezmę twoją duszę.

— Kłaniam uniżenie! Co by też powiedział na to ksiądz proboszcz albo wikary naszej parafii, boć mi oni przecie najlepiej wiedzą, jaka to krucha sprawa z mocą piekielną, w której radzie zdajesz się zasiadać.

Lecz potem myśli: czyż na tym punkcie nie okpiłby się kusiciel?... boć w tym kantonie nikt jeszcze nie kichnął, żeby mu zaraz zdrowia nie życzano... snąc nie zna on kraju, można go będzie oszukać..

— Zgoda, panie szatanie i dobrodzieju mój! Jutro po południu niech będzie stół suto zastawiony w mojej chacie, a jutro wieczór... ba! zobaczymy, jak to wieczór dla waszmości wypadnie?...

I rozstali się z sobą.

Węglarz pobiegł zapraszać gości z całej okolicy.

Nazajutrz dzwonią w parafii, i niosą chłopię w powijaku z okazałością do kościoła; a

po odbytej ceremonii zaproszeni włościanie widzą z powrotem chałupę Jana przystrojoną w gałęzie i kwiaty, postrzegają beczkę piwa przeddrzwiami, baryłkę wina i gąsiorki wódki miodem zaprawionej w izbie, tudzież różne potrawy i piramidy z ciast, pierników i cukrów ustawione.

Zdumieli.

I nuż szeptać do siebie: Jakim cudem ubogi nie dawno Jan został od razu milionerem? Przeróżne krążą domysły.

A Jan się do wszystkich uśmiecha, jest uprzejmy i gościnnie.

Lecz otóż nadchodzą i grajki, niosą skrzypki i basetle, szykują się, rzempolą. W brylantowym humorze gospodarz rozpoczyna tańce z najbogatszą we wsi matroną; najstarszy syn jego Maciuś, czyni honory pannom; matki mające rozkwitłe już dziewoje znajdują co chwila mu coś do powiedzenia, a córunie mile nań zerkają i każda dyga przed Maciusiem, gdy jej da karmelka.

Tam zaś w przyległej komorze wesole parobczaki roznoszą półmiski z pieczeniami i galaretą, biesiadnicy trącają się kieliszkami, kum kumę całuje starym obyczajem, gdy w tem szanowny węglarz zanosi się i — kicha.

Kichnął, obejrzał się, a... nikt mu zdrowia nie życzył. Wśród zamieszania i ogólnej wrzawy każdy zajęty sobą.

Mniejsza o to! — pomruknął — zostaje mi jeszcze dwa razy...

I nuż dalej walcować i wychylać szklanice.

Za pół godziny następuje powtórne kichnięcie.

Co u licha! i tym razem nikt się odezwać nie raczył? Ho, ho! trzeba się mieć na baczności, bo to nie przelewki z tym czarnym ladaco...

Tak rozumując przeciska się najbliżej do swych najlepszych przyjaciół i usiłuje zwrócić na się całą ich uwagę; ale trzebaż nieszczęścia, że prąd hucznej zabawy porywa podochoconych w swe kręgi, podczas gdy on po raz trzeci kicha i nikt tego nie postrzega. Stało się!

Zjawia się diabeł z szyderskim chichotem, wyciąga pazuraste łapy po swą zbladłą z przestrachu ofiarę; lecz nagle... o dziwy!... świeżo ochrzczona dziecina wychyla główkę z kołyski i przemawia: Na zdrowie! papo.

Zły duch przegrawszy sprawę skulił się i wyniosł cichaczem, siarką przez zemstę zakadziwszy zgromadzeniu.

Do legend szwajcarskich zamieszal się jakimś sposobem i Piłat. Różni różnie o tem opowiadali. Jedna atoli z najdawniejszych kronik *) dostarcza nam w tym przedmiocie podania następującej treści:

Po męce naszego boskiego Prawodawcy na górze Kalwaryi, cesarz rzymski zawezwał Piłata ponckiego do wytłumaczenia mu się osobiście ze swego postępowania w sądzie Jezusa.

Cesarz, jakkolwiek poganin, miał żałować bardzo, iż proces Boga-Człowieka odbył się tak pospiesznie, że mu nie zostawiono nawet czasu obaczyć tego, którego ogłoszono za Mesyasza, i żądać od niego cudów.

Piłat udaje się przeto na śledztwo z nadzwyczajną obawą, gdyż nie podpadało wątpliwości, że samowładca nie będzie go oszczędzał wcale.

Staje wreszcie z rezygnacją przed swym panem, atoli spokój jego rozbraja gniew cesarski. Lecz skoro tylko Piłat wyszedł z pałacu, rozdrażnienie pańskie powraca. Cesarz przyzywa zatem powtórnie swojego sługę i znowu w systemie nerwowym doznaje łagodnego uśmierzenia. Zmuszony uczynić po raz trzeci próbę, a

*) W y s s. Idyllen, Legenden aus der Schweiz.

ciągle z jednakowym skutkiem, przypisując wszystko czarom, każe nakoniec straży obnażyć Piłata i zrobić koło niego ścisłą rewizyą, aby się przekonać, czy nie posiada jakiego talizmanu.

Rozkaz wykonany został.

I znaleziono zachowany na piersiach rządcy jerozolimskiego kawałek sukni chrystusowej, który miał cudowną własność. Cesarz wydarł mu tę relikwię, a jego samego na śmierć skazał. Wtedy to Piłat udusił się dobrowolnie w więzieniu dla uniknięcia dłoni katowskiej, ciało zaś jego do Tybru wrzucono.

Lecz cóż się znowu dzieje?... Oto potępienie sprowadzał przez zemstę pioruny, grad i ulewy na nadtybrzańską okolicę, do tego stopnia, iż Rzymianie zmuszeni byli wydobyć go z mułu rzeki i utopić aż w Rodanie. Pokazało się jednak, że i w swoim nowem łożysku nie był spokojny, i póty płatał mieszkańcom figle, póty sprowadzał na nich burze i rozmaite plagi, aż wyciągnęli go z wody i wyrzucili z pogardą pomiędzy mało zaludnione jeszcze podówczas góry szwajcarskie.

Na nieszczęście jedno z koczujących pokoleń osiedliwszy się w tamtem miejscu, dużo ucierpiało z powodu uraganów i śnieżnych zamieci, które zaklęty Piłat nieustannie wszczynał.

W XV. dopiero wieku duchowieństwo uwzięło się na niego i potężnie egzorcyzmami chłoscząc, ukróciło swawolę i rozpustę nieboszczyka.

Na zakończenie tego rozdziału o legendach i podaniach szwajcarskich, o których nawet Petrarca wspominał, przytoczę następujący ustęp mitologiczny:

Karol W. podczas pobytu w Helwecyi kazał zawiesić u podwoi swojej rezydencyi dzwonek, w celu ułatwienia natychmiastowego przystępu do siebie szukającym pomocy lub sprawiedliwości (który z dzisiejszych monarchów coś podobnego zrobił?).

Pewnego razu, gdy brzęk metaliczny dał się słyszeć, i służący wybiegli na spotkanie przybysza, cofnęli się nagle i dali znać cesarzowi, że ogromny wąż pociągnawszy za sznur od dzwonka, czeka podedrzwiemi.

— Prosić! rzekł potężny władca. Ponieważ Bóg mię zesłał dla wymiaru sprawiedliwości na ziemi, winienem ją zarówno ludziom jako i zwierzętom.

Posłuszni dworzanie puszczają tedy węża. Ten pełźnie do tronu Karola, wiodąc za sobą obrzydliwą ropuchę; wytacza się sprawa.

Wąż oskarżył ropuchę o zamiar zamordowania mu dzieci. Karol wysłuchawszy obydwóch stron, skazał żabę na śmierć.

Zadowolony z wyroku wąż, oddala się, skinąwszy grzecznie cesarzowi głową; ale na-
zajutrz powraca on, żąda znowu audyencyi, jest
przyjęty, a sunąc się wspaniale przez galerye
pałacu, zastaje monarchę w sali jadalnej, oto-
czonego poczetem rycerzy.

Śmiały gad nie uważając na to wspina się
do stołu, zabiera królewską czaszę na pamiątkę
dla siebie, a natomiast zostawia dyament rzad-
kiej piękności.

Dyament ten miał moc cudowną.

Karol W. darował go swej oblubienicy, i
od tej pory począł szaleć za nią z miłości.

W kilka lat później kobieta ta zachoro-
wawszy i czując się bliską zgonu, schowała cu-
downy kamyczek do ust; gdy zaś umarła, Ka-
rol nie przestał jej kochać, nie pozwalając wy-
nieść jej ze swego apartamentu, jak gdyby nie
postrzegał, że ciało nieboszczki ulega z każdym
dniem coraz większemu zepsuciu.

Arcybiskup, monsenior Turpin, usiłował za
pomocą perswazyi rozłączyć cesarza z trupem,
lecz nadaremnie. Aż padłszy na myśl, iż szal
tego rodzaju musi mieć przyczynę nadnaturalną,
zakradł się w chwili, gdy cesarz spał, do jego
gabinetu, zrewidował zmarłą i odebrał jej
dyament.

Nastąpiła nagła zmiana.

Skoro się tylko Karol przebudził, zaraz krzyknął z oburzeniem: dla czego dotąd nie wyniesiono cuchnących zwłok z mieszkania?

Lecz nowa bieda dla prałata! ktoby się tego spodziewał?... Karol od tej pory zaczął się zalecać arcybiskupowi, jak gdyby on był jego kochanką.

Postawiony w nieprzewidzianym ambarasie poważny dygnitarz kościoła, przeląkł się węzowego dyamentu, a pojechawszy do Akwisgranu, pod murami tego miasta wrzucił go do wody.

Odtąd Karol W. ze wszystkich miast najlepiej lubił Akwisgran, zrobiwszy z niego stolicę swojego państwa.

III.

Polacy w Piekiełku.

Piekiełko! przedsiemek do wielkiego piekła!... jakież różowy, kwiecisty, uroczy!...

Tam przemieszkujesz w granitowym pałacu ze wspaniałym portykiem, otoczonym wonnych jaśminów gajem!

Tam w salonach adamaszkowych, wśród szmeru mirtów i wodotrysków, zapominasz o cierniach żywota, spoczywając na miękkich szkarłatu wezgłowiach. Tam nad twą głową rozlewa się tęczowych promieni sztuczne światło, a piękne Prozerpiny w brylantowych naszyjnikach uśmiechają się do ciebie; tklive dźwięki muzyki, pieszcząc ucho i serce, do snu cię kołyszą.

I tak drzemiąc, w gnuśnej bezczynności zasypiasz mile... bo nie wiesz dnia ani godziny, kiedy za twe epikurejskie zbytki spotka cię zakrwawiony miecz lub krata więzienia, a może — co gorsza — i ostateczne spalenie.

Piekielko!... Tak nazwałem Baden-Baden, a właściwie badeńską szulernię z przyległościami, ze skromnym na frontonie napisem: „Maison de conversation“.

Kto nie widział w ostatnich latach przeobionego przez Napoleona na uludną otchłań Paryża, może jeszcze znaleźć te same co i tam czary w księżtewkach niemieckich, Badenie, Wiesbaden, Ems i Homburgu; może jeszcze obaczyć tam, zanim powódź dziejowa go zgładzi, ów rój nowożytnych Baltazarów, co to roznoszą po świecie naperfumowaną zarazę, tępiącą meżkość i siły żywotne nie tylko pojedynczych osób, ale rodzin całych, a nawet narodów.

Smutną zaiste ich i im podobnych ofiarą stała się dzisiejsza Francya.

Jak niegdyś w lasku bułońskim lub na polach elizejskich, tak teraz możesz jeszcze ujrzeć arystokratyczną młodzież w wyż wzmiankowanych, na pół wiejskich w Niemczech ustroiniach. Kluby modnych lwów obecnej epoki, żywy symbol zepsucia, ściągają do tego Eldorado ze wszech krańców świata, z końmi, żokiejami, faworytkami, złotem i cynizmem.

Gdy nie w tych indywiduach nie pozostało z cnót i charakteru praojców, gdy choroby wieku: samolubstwo i próżność, zgangrenowały ich dusze, ostatkami gonią, pragnąc „zadać

szyku“, zaimponować światu... czem?... resztkami! tem, na co ich stać jeszcze: nogami końskimi, szaloną grą, zakładami, przesadzaniem się w przepych stroju i ekwipażów dla swych utrzymanek, głośną pogardą wszystkiego, co dla nas jest świętem.

Któż z nas nie przypatrzył się w Baden-Baden lub Homburgu owym młodym starcom, przedwcześnie strupieszalym i okrytym zmarszczkami, o chwiejącym chodzie i z szybką w oku; owym wyblakłym postaciom, poziewającym, przesyconym, których niepodobna oznaczyć wieku, sypiącym czce frazesa figurez - vous!... imaginez - vous!... podziwiane jeno z uśmiechem przez kółka ich kotery?

Czyż ci panowie z pływającą swą wiedzą, zgasłą energią, kosmopolitycznymi zasadami, nie byli istnymi przedstawicielami zdenerwowanych bohaterów bonapartyzmu, w tornistrach których Prusacy znajdowali kosmetyki i pachnidła?

Przyzywam tu na bezstronne świadectwo pod tym względem moich dystyngowanych obojej płci ziomek, z którymi miałem zaszczyt spotykać się w Piekieleku, poznając ich przy zielonym stoliku w Ems i Wiesbaden, po butnej minie szlachcica, lub po mowie polskiej, francuzczyzną szpikowanej.

A jak to boleśnie było patrzeć, gdy nie jeden z paniczów o nazwisku kończącym się na ski albo icz, sięgającym starego gniazda, a czasami nawet zdobnym mitrą lub dziewięciu pałkami, przeszedł z podniesionem czołem wśród szpaleru cudzoziemców, obok swej matki, żony i siostry, pyszny z mizdrzenia się do jakiejś bogini baletowego Olimpu, albo też do innej znakomitej syreny przemycalnego świata!

Lecz nie psujmy im reputacyi, przez wzgląd, że mogą się jeszcze ostatkami goniąc, posażnie ożenić po powrocie do kraju.

A one... Polki.. które za nich pójda?...

One biedaczki pojma doświadczonych mężów, z wybitną przeszłością historyczną, przywykłych wszędzie, gdzie przyjadą, mieć swoje gospodarstwo...

One, oprócz tego, dadzą wysoki dowód chrześcijańskiej tolerancyi...

Tymczasem wnijdźmy do sali, jak napis świadczy „domu rozmowy“, i przysłuchajmy się gawędzie!

Z ogromnych stołów, okrążonych tłoczącą się do nich prześwietną publiką, zalatuje tylko brzęk srebra i złota, jakoteż sakramentalna odezwa krupiera: „Messieurs! le jeu est fait“

A na aksamitnej kanapie w szerokiej framudze okna, poważny Francuz wiezie sprzeczkę

z modnym paniczem w jasnych rękawiczkach, co potrząsa pejczykiem z herbowaną galką.

Starszy z nich zowie się Mercénier, ma szramy na twarzy i jest majorem w legii algierskiej, a przytem stronnikiem upadłej dynastyi Burbonów; ręce jego muszkularne i choć stary, wygląda na tęgą ręką.

Młodszy jest dość mizerny, lecz jako Polak i hrabia Z. (galicyjski hrabia, z najmłodszej linii hrabiów!) a do tego były uczeń szkoły paziów w Wiedniu i adjutant Maksymiliana w Meksyku, ogromnego zadaje szyku.

Gronko czcicieli rulety z ubocza na głośno mówiących rzuca spojrzenia.

— Wypada ztąd, kochany Władysławie — rzekł Francuz, przedłużając wątek rozmowy — że masz żyłkę do grania. Co do mnie, odpowiadać zwykłem: Nie jestem tak biedny, żebym się łakomił na cudzy grosz, ani tak bogaty, żebym dał się obdzierać.

— Ja zaś — zawołał Władysław — mając dosyć ciotek... ot, starych panien... tarczę od złej doli, wygrywam bez radości i puszczam pieniądze bez żalu. Z początku grywałem z przyjaciółmi, w tak zwanem kasynie końskim we Lwowie, a potem w Wiedniu, rozumie się przy winie i kokotkach... ale to rzecz nie wygodna, i mówiąc między nami, kompromitująca.

Wracasz do domu bez grosza, po nocy bezsennej, z głową ociężałą, nędzny jak wymoczek, z paznogciami w żalobie. Spisz do popołudnia a we śnie gorączkowym asy i kralki, walety i bogdanki wirują ci w mózgu. Potem cię budzą! Wstajesz w kwaśnym humorze, niesmak w ustach, idziesz do obiadu jak jawnogrzesznik, ciotki mruczą pod nosem, o! bo to wystaw sobie major, chodzący zbiór starożytnych moralistek, płęć mszcząca się na mężczyznach; a do tego nie znajdziesz pociechy i u kolegów nawet, gdyż uciekli od ciebie, skoro im pieniędzy pożyczyleś. To tak u nas w austriackiej Galicyi!...

— Co tam za hałas w czerwonej sali, Władysławie?...

— To nic... ot, pani K.... gdera przy „trente et quarante...” przyuczyli babę do burmistrzowania w Homburgu!...

— Któż to jest ta pani K....?

— Jest to dama Qui-se-lève... Otóż, majorze wołę sto razy Baden-Baden nad końskie kasyno i Wiedeń. Baden jest zdrowszy, ma za pretekst wody mineralne, mniej kompromituje, nie tak nuży i człek czuje się tu wolniejszym od wszelkich zobowiązań. Rozumiecie ojcuniu?... Jak wygram, nikt tu nie narzeka, żem wydarł chleb jakiej rodzinie... a zawsze

najpocziwszej! nikt nie żąda rewanzu, ani sobie w łeb przezemnie wypali; skoro przegram... ha!... dyrektor banku, p. Bénazet, nie poleci przecie trąbić po państwie austryackiem, że złupił Władysława....

— To prawda... to prawda!... ależ... do stu granatów! jesteś tak młody, a z twojem wychowaniem i przy dobrej woli mógłbyś lepiej użyć majątku i czasu, obrać sobie jakiś zawód, no! zawód... stan, karyerę!

— Cóż, kiedy wychowano mię tak, żebym nic nie robił. Strzeżono mię w dzieciństwie jak oczka w głowie, miałem tyle nianiek, bon i guwernerów, że dzisiaj nic nie umiem. Jeden oglądał się na drugiego i mało uczył. A ze śmiercią cesarzewicza — Panie świeć nad jego duszą! — znikła n dzieja karyery. Nasze polskie matrony chciały mię wprawdzie ożenić, i już o włos nie wpadłem był w pułapkę; ale zdołałem im wyperswadować na szczęście moje, że stan małżeński jest najgorszą z loteryi, w której prawie nigdy nie wygrywa się losu wedle życzenia, a najczęściej taki, jakiego się mieć wcale nie pragnie. „Trente quarante“ pewniejsze! Dla tego, majorze, pójdźmy sobie stuknąć za pomyslność Benazet'a.... niech żyje symbol udoskonalonego wieku!

— Przepraszam... lecz pozwól mi Władysławie, pozostać wiernym prawodawcy, który skasował gry w Paryżu... Było to 1. stycznia 1838 roku... a ówczesny rząd francuzki, dziecko rewolucyi 1830 roku, w chwili zamknięcia domów gry, był w bardzo krytycznem położeniu finansowem; zrzekł się jednak raczej wielkich zysków od dzierżawców tych jam rozbójniczych...

— Ależ nikt majorowi nie przeczy! Paryż jest pełen różnych banków i zakładów; woźni roznoszą w nim worki ze srebrem i złotem. Gdyby tam pojawiła się ruletka, wracaliby oni do swych przełożonych z rękami próżnemi; a Francya nie nastarczyłaby galer na pomieszczenie tych, co jak major mówił, mają żyłkę do grania. Inna jest Badenu sytuacja. Tutaj każdy, a zwłaszcza my, możemy sobie pod opieką prawa próbować Fortuny, bez obawy, aby nas posądzono o dawanie złego przykładu, byle się tylko do gry nie zapalać. Lecz któryż dobrego tonu człowiek zapala się do czegokolwiek bądź dzisiaj?...

Major pokrząkiwać zaczął.

— Gadasz dość gładko — rzekł nakoniec uroczystym tonem — ale nie gniewaj się, Władysławie, skoro ci powiem, iż ty i twój przyjaciel... Bura... kini... Bura... kowski... jesteście przedstawicielami społeczeństwa skazanego na

zatrąę. Toć człowiek dojrzał, jak ja, co nie raz zasłaniał swą pierśią ojczyznę, nie zada kłamu czynom żywota swego. Gra jest zgorzeniem, jak każdy nabytek bez pracy. Jak dotąd byli gracze, tak i nadal będą zapewne, bo zawsze byli, są i będą ludzie, którzy bez trudu, bez potu i mozołu zechcą się bogacić, powierzając swoje szczęście, swój los ślepemu trafowi.

Takich nie poprawi nawet głos potępiającej ich opinii. Co do mnie atoli, zabroniłem gry moim podoficerom i żołnierzom, zabroniłem jej sobie, choć znam ją dobrze. Nazwij mnie pedantem, oryginałem, jeśli ci się podoba, ale nie zapominaj, że z podobnymi oryginałami Lykurg spartański zawładnął światem. Do widzenia!

Po tych słowach Mercénier oddalał się powolnie, gdy ziomek nasz patrząc z uśmiechem za odchodzącym, powstał szybko i lekkim, posuwistym krokiem zbliżył się do zielonego stołu, na którym ważyły się losy nie jednego z tych, co go otaczali.

Jeden z galonowych lokajów szulerni, w ponsowych frakach, podał mu krzesło, tudzież kilka porubrykowanych kart i szpilkę do znaczenia wychodzących kolorów.

Władysław dnia tego grał dosyć szczęśliwie, a za każdym razem, gdy Fortuna zwróciła

się ku niemu, siedząca przy nim znajoma sąsiadka, miła szatynka o długich rzęsach i smugłem obliczu, narzekała na złą grę swojego męża.

Gdy Władysław nappełnił talarami kieszenie, zamienił je na banknoty u bankiera i wstał od stołu, nieszczęśliwa niewiasta postąpiła za nim, mówiąc ze drżeniem o swem krytycznem położeniu.

Ugrzeczniony Władysław z całą uprzejmością ofiarował jej pożyczkę. Piękna dama dała się namówić do przyjęcia takowej, z postanowieniem najprędzszego zwrotu, błogosławiąc w duchu bezinteresowność młodziana.

Ale nazajutrz była na balu w domu „rozmowy“, a obok niej fotel zajmowała jakaś nimfa pół-świata, strojna tak bogato i z tak odurzającym gustem, że patrząc na nią, o raję śnić było można.

Więc nasza pani wielkiego świata pomyślała, że przecież hrabia Z....., jako wytworny kawaler, będzie miał cierpliwość poczekania z odbiorem długu, i zaraz nazajutrz obstałowała sobie toaletę, mogącą wtrącić cały półświat w największe upokorzenie.

I niestety! zabrakło znowu florenów; kupcy zaczęli być natrętnymi. Lecz jakże się tu zwie-

rzyć mężowi i prosić o pomoc, kiedy zgrał się do szczętu i w kwaśnym jest humorze?

Otóż z toku rzeczy wypadło udać się jeszcze do Władysława, nie w celu oddania, ale zaciągnięcia świeżej pożyczki.

Hrabicz jeszcze skwapliwiej niż poprzednio uczynił zadość życzeniu szatynki w kłopotach, lecz na ten raz tak wzdychał, tak był błagającym, że..... że na drugi dzień złe języki już szeptały w Baden - Baden o nowej czulej parze.

— Widzisz ich pan tam, na murawie? — rzekł zgorszony major.

— Widzę, siedzą w cieniu skały, jak Romeo i Julia.

— Ba! wiem że siedzą, ale najciężej zacząć, pójdzie się i dalej. Dzisiaj Władysław, jutro Arthur... a kiedy już dwóch oprócz legalnego, cóż znaczy większa ich liczba? Szuka się już wtedy coraz doskonalszego, à la madame Sande. Oj! oj! pani Amelcia Burakini... czy tam Burakowska?

— I cóż?

— Gdyby jej mężulko był zarazem mężem zasad, nie przymierzając jak major Mercénier, którego nazywają starym weredykiem, rzecz inaczej by się miała, do stu granatów! Zasada... przedewszystkiem zasada!.. panowie Polacy.

— A zkądże to, majorze, rozszedł się, jak dzuma, zły przykład po świecie, jeżeli nie z Francji? Toż w Paryżu lvice pół-świata przyjmowane są na dworze, a sprzedajne dziennikarstwo podnosi ich fioki, ich słówka, gesta i wystudyowane w zwierciadle ruchy, wzbudzając zazdrość w kobietach, które nie straciły wstydu.

Polityka Napoleonidów tem się zachwyca, bo wie, że zepsucie staje się drugiem opium na krewkość mas, i że popierana demoralizacya ogółu, dozwoli spełnić spokojnie wszystkich niegodziwości, które czynią ohydną kartę z historii ostatniego cesarstwa.

Rak zepsucia toczy was dwoma prądami. Z ulicy wspina się on do najwyższych pałacowych sfer, a z tamtąd złazi w rynsztokowe błoto. Wielkie damy znają handlarki wdzięków, i odwrotnie. Mało brakuje, by się te panie witały i wchodziły w zażyłość z sobą, mając tyle wspólnego: mody, spaceru, teatru, jednakie interesa i kaprysy.

Wy to, Francuzi, zapominacie, że moralność kobiet, to zdrowie i siła narodu; że uszlachetnić niewiasty, jestto wytarzyć matki dostarczające krajowi patriotów i dobrych obywateli.

— Bravo! człowiecze zasad — wyjąknął Mercénier, i zwrócił swe kroki do hotelu Victoria, gdzie właśnie dzwoniono na obiad.

— Majorze, kochany majorze!... jeszcze jedno słówko.

— Słucham.

— Był okręt „Evening Star,” który na swoim pokładzie uwoził na wyspy przeszło sześćdziesiąt kobiet, skazanych na wygnanie. Na pełnem morzu, w środku drogi, majtkowie postanowili sprawić sobie ucztę. Dowódcy chętnie zgodzili się i sami wzięli w niej udział. Powiązano niechętnych, a następnie cała załoga urządziła dla się bachanalię.

Wino, wódka toczyła się strumieniem — rozpusta straszna, tytaniczna, bez nazwy, odbywała się w oczach podróżnych, nie mogących jej przeszkodzić, i trwała długo.

W tem powstała burza — zrozumiano niebezpieczeństwo, ale ci, którzy mogliby je zażegnać, byli pijani trunkiem i szalem. Opuszczone kotliny u pieców wygasły, statek bez sternika płynął na Boże zdarz! I Bóg zdarzył, że złowrogi trzask z uderzenia o podwodną skałę dał się słyszeć, woda wdarła się do okrętu i balwany pochłoneły „Evening Star” wraz z całą załogą.

— Majorze, tym okrętem, jest Francya; ta załoga, jej sterownicy.

— Ale nie Burboni! — rzekł na odchodem, z uśmiechem niedowierzania — ci są ludźmi zasad... Smacznego apetytu!

— Wzajemnie.

I rozeszliśmy się, każdy w swoją stronę.

Za kilka dni zjawienie się dwóch dam u wód badeńskich, stało się przedmiotem gawęd podróżnych gości, mianowicie młodych ludzi.

Przybyłemi była siostra majora, bigotka, jak koczujący dwór Henryka V. i córka majora Olimpia, żywy cud, chodzące dziwo, piękności marzenie! Ktoby się spodziewał, że dereszowaty gderacz z wykrzywionym nosem fioletowego koloru, ma tak udatną dziewczynę?...

Urodzona w Algierze z matki Włoszki, łączyła w sobie gorącą południową wyobraźnię i trochę bezwiednej zalotności francuzkiej. A z tem wszystkim tak jej było do twarzy!

Olimpia po śmierci matki odbierała wychowanie w *Sacré-cœur*, to jest u jezuitek w Paryżu. Pomimo to, dzięki szczęśliwemu usposobieniu, dusza jej nie przejęła się obłudą; miała serce, niby Łada słowiańska, przezroczyste.

Gdy pierwszy raz na przechadzce w cieniowej alei Lichtenthal'u ujrzałem główkę tej odlepionej z obrazu Rafaela Madonny, stanąłem jak wryty, tyle w niej było ómiącego uroku.

Pamiętam, miała kamelię w kruczych włosach, ślicznie odbijających od jej oblicza bladości z ruchomym wyrazem.

Major widząc milczące hołdy oddawane swojej, jak ją nazywał „najmilszej koteczce”, pokrząkiwał tylko z pychy ojcowskiej, co miało znaczyć: A co?... teraz klękajcie narody! I czy dla tego, że raz nazwany człowiekiem zasad wpadłem był u niego w łaski, czy też, że nie uważał mię za niebezpiecznego, albo przez wzgląd na jedno i drugie, dosyć, iż nie przeszkadzał mi po przedstawieniu się rozmawiać z koteczką.

Ale za to był tyranem dla Władysława; nie mógł mu w żaden sposób przebaczyć Amelki meżatki i zielonego stolika, które się nie zgadzały z jego zasadami, zwłaszcza, skoro się dowiedział, że w ostatnich dniach puścił na rulecie, jeśli nie cały swój majątek, to przynajmniej znaczną część takowego. I chociaż Władysław przysięgał na wszystkie bogi, że już się rozstał z Amelką i że na wieki grę porzucił, przecież podejrzliwy stary nie dowierzał

jego żyłce szulerskiej, będąc przekonania, iż zawsze natura wilka do lasu ciągnie.

Mimo to wszystko, Władysław, dotąd tak nieprzystępny dla uczuć, zmateryalizowany sceptyk, stworzenie pochodzące od małpy Darwin'a, złapał się na haczyk wdzięków niewieścich, zakochał się na zabój w Olimpii, i, co większa! niezasłużony szczęśliwiec otrzymał... wzajemność od niej.

Napróżna zgroza i oburzenie majora, daremne fortele w upokorzaniu młodziana; na nic się nie zdały litośne spojrzenia publiki, wywołujące rumieniec na twarzy naszego ziomka, wszystkie wybiegi ojca nic nie wskórały: nie mógł go odpędzić od swej córki.

Jedno spojrzenie koteczki wynagradzało zakochanego adjutanta Maksymiliana za wszystkie poniżenia i zniewagi. Mała insurgentka majorówna paraliżowała całą taktykę osiwiałego w bojach algierskiego wojaka; skoro zaś sypał nie-miłosiernie skargami i zarzutami na przedmiot jej miłości, słuchała nieboraczka z oczkami spuszczone, z miną dewotki zawstydzonej bluźnierstwa na świętego.

Czasami próbowała rozbroić papę dobrodzieja łagodnymi słówkami, przymilaniem się; lecz stary lew afrykański był niewzruszony.



IV.

Tajemnice Piekietka.

Wiesz, dla czego diabeł mądry?
Bo stary.

Losy nieszczęśliwych kochanków stały się przedmiotem ogólnej rozmowy u wód. Władysław był bohaterem chwili; Olimpja uchodziła za jakąś średniowieczną kasztelanę, którą wykraść chyba meksykańskiemu ex-rycerzowi wypadało; a surowy jej rodzic używał opinii bajecznego smoka.

Czułe damy szczególnie się interesowały naszym młodzianem, i nie jedna zwracała się w stronę, kędy zadumany błądził, aby go zlornetować, nie poczytując tego sobie za nieprzyzwoitość; stały zaś w miłości chłopiec jak wzdychał, tak wzdychał, i na ulgę boleściom serca grał w ruletę zapamiętale.

Ta ruleta, to zbawienna instytucja! Od chwili położenia stawki, przez cały czas jak puszczone w obieg koło się obraca, i kościana gałka na niem się toczy, odbija się o krawędź, drga, póki na numer nie padnie, człowiek

trawiony nadzieją wygranej, zapomina o wszystkich dolegliwościach świata, o wszystkich nawet kochankach. Co za nieoszacowany wynalazek!

Ale był to jakiś dzień feralny.

Od samej jedenastej zrana, skoro tylko dom rozmowy otworzono, ruleta wzięła na kiel i łupła swoich czcicieli niemiłosiernie; zdawała się drwić ze wszystkich logicznych i najpewniejszych kombinacyj z zachwalanych przez starych graczy systemów.

Fantastyczna gałka padała na cyfry z kolorem czarnym i czerwonym bez porządku; — ani jednej seryi! ani jednego regularnego intermitensu! I trudno było przeniknąć, kiedy się takowe pojawić raczą.

Ztąd głucha rozpacz i zwątpienie dla szanownej publiki, otaczającej niby ołtarz, zielony stolik do koła, z wymuszoną pokorą i rezygnacją.

Zwątpienie! jak u zepsutych Rzymian, kiedy stracili wszelką wiarę. A w ogromnym, przepysznym, prawdziwie królewskim salonie, stoły rozstawione wszędzie z kupami złota, drażniąciami żądze!

Gdyby wtedy Olimpia zobaczyła była upadłego na duchu Władysława, zapłakałaby ze smutku nieboga i... pokochała go jeszcze bar-

dziej... z litości. Boć przyznają panie, że litość jest wszystkich cnót duszą.

A co się z pięknymi szulerkami działo? Aż strach wspomnieć.

Tamta dobrej tuszy hrabina pocila się z gorącą i tłumionego oburzenia; tej chudej baronównie, siedzącej obok jegomości w białej kamizelce i peruce, spiekle rumieńce występowały na licu; owa zaś słynna loretka, Soubiza, bladła i usta jej konwulsyjnie drgały, gdy ostatniego na suknie drżącą ręką kładła guldena, a gałka już skacząc pukała.

Wiele dam miało kapelusiki zmięte i piórka na nich opadłe, bo się za niemi do ołtarza cisnęli i nad ich głowami pochylali niegrzeczni, którzy więcej sztabę złota, nad pleć piękną szacują.

Była i taka, której — o zgrozo! — w ogólnym nieładzie pakiet włosów z tyłu na lewe ucho się zsunął; a wszystko dla miłego grosza. Co to mogą pieniążki!... co za ambrozja wrażeń!

Wśród tej powszechnej zgrozy i bogobojnej rezygnacyi, krupier, sługa bankierski, o marmurowem obliczu i wystygłej duszy, zciągnawszy urządzoną do tego gracą na prawo i na lewo zdobyte stawki złota, banknotów i srebra, na nowo po raz tysięczny zawołał:

•Faites vos jeux, messieurs!... Le jeu est fait, rien ne va plus!.

A potem machinalnie korbą zakręcił mo sieżne koło, i figlarną gałkę na nie puścił.

Władysław, przygryzając usta, wyjął obojętnie na pozór dubeltowego luidora i rzucił go na *rouge*. Inni stawili na *noir*.

A wszystkich serca w oczekiwaniu skutku były, i mocno były, biegiem przyspieszonym; a wszystkich oczy gorączkowo śledziły ruch ręki krupiera. Najgłębsza cisza panowała do koła.

W tem daje się słyszeć krzakanie między publiką. Zatrwożony niem Władysław ogląda się i spostrzega nagle majora. Stary zaś lis udał, iż go nie widzi. Władysław, korzystając z chwili, w oka mgnieniu zawraca się, a przebywszy natłok cudzoziemców, wpada do drugiego salonu, jak student złapany przez dyrektora.

W pośpiechu zapomniał o swoim luidorze, który wspaniale jaśniał na suknie przy lamp gazowych błysku, niby jakie religijne votum.

•A to nicpoń!• mruknął major •a to krzywoprzysięzca... I on chciał mi zdmuchnąć z przed nosa najmilszego mego koteczka?.. A do stu granatów!...

Oczy graczków i niegraczków zwróciły się ku Mercéniemu, on zaś przybrał minę Herkulesa, usiłującego zgładzić hydrę gry ze świata,

i szyderczo się uśmiechał, najpewniejszy, iż grabki krupiera ściągną wnet złotą sztukę Władysława, która go korciła.

Lecz nie miał tej uciechy: — rouge, passe, impair gagnent: zawołano — i błyszcząca czterdziesto-frankówka znalazła przy sobie również błyszczącą sąsiadkę.

•Poczekaj paliwodo! za drugim razem przegrasz niezawodnie. — pomyślał major.

I w tem lubem oczekiwaniu usiadł zaspary na opróżnionem właśnie krześle, a wsparłszy się łokciami na stole, napiął wzrok ku gałce, która jak fryga latała.

•Znowu rouge... do stu granatów!.

Z dwóch sztuk Władysława zrobiło się cztery.

Major spoglądał z pogardą na marny kruzec, próżną mamonę zhańbioną dłonią szulerów, na owe stopy rulonów leżące pod brodą bankiera, a poznoszone z całej kuli ziemskiej do tej jaskini zepsucia. Ileż by one tajemnic, ile ciekawych kolei swego istnienia wypowiedziały, gdyby mówić mogły? Jakaż to różnica między tą monetą rozpusty i sprosności, a groszem uczciwie przez pracę, porządek i oszczędność zarobionym?...

Filozoficzna ta uwaga filantropa została raptem przerwana szmerem zgrzebla, przysuwają-

cego nowe cztery luidory do stawki Władysława. Kolor czerwony wygrał.

•Co za niesprawiedliwość ślepego losu! — mrucał dalej major — •co za głupia ta jejmość Fortuna! Choćby już protegowała jakiego męża zasługi i zasad; ale ona, szkaradna zalotnica, umizga się do gagatka z Galicyi.

•O! świecie, galanteryjny sklepiku!... ani człeka rozum w nim zaleci, ani go cnoty wzbogacą... Osiem dublonów!... toż to miesięczny żołd sztabowego oficera... gdy jeden ladaco, co śmiał mi córkę bałamucić....

Zapyżony major nie miał odwagi dokończyć frazesu, lecz postanowił siedzieć póty, dopóki kolor czarny nie wyjdzie; ale jak na złość szła serya czerwona — po raz czwarty, piąty, szósty i siódmy, ciągle obwieszczano •rouge! i kupa złota, własność nieobecnego Władysława, podwajała się w sposób kolosalny.

Mercénier, jakkolwiek gderacz i sknera, zawsze jednak w gruncie uczciwy człowiek, widząc, że wygrana jego gagatka z Galicyi, ladaco, paliwody, nicponia, zakrawa rzeczywiście na majątek, żałować począł, iż zbiegł z placu boju, i że go nie ma w sali, aby mógł rozporządzić swoim kapitałem.

Z dwojga złego wybierając, wolał on mniejsze złe niż większe; wolał, aby pieniądze po-

toczyły się raczej do kieszeni niedoświadczonego ladaco, niż żeby wpadły do otchłani za nadto doświadczonych, a chciwych krzywdy ludzkiej bankierów i spółki, tych pijawek XIX wieku, zgrai wykwintnych łotrów, obdzierających ludzi na mocy paragrafów.

Zaczął się tedy oglądać, szukać oczyma nicponia; lecz jednocześnie pilnował jego wygranej, gdyż, bądź co bądź, owa uśmiechająca się kupka żółtego kruszcu, świegocąca za każdym jej poruszeniem, jakimś lubym, odrębnym dźwiękiem, przyjemne w końcu na nerwach starego sprawiała wrażenie.

I przestał naostatek majaczyć i marudzić, bo umysł jego pomimo wyznawanych zasad, pociągniętym ku grze został i nią się zajął.

Tymczasem okrągła czarodziejka, raz ósmy puszczona, już... już się pochyliła ku noir, gdy w tem lekkim o krawędź koła potrąceniem odbiła się i padła na przyległy rouge.

Milczący jak mumia bankier, do 128 dublonów (5,120 franków), skarbu naszego ziomka, dorzucił z zachwycającą swęj ręki gimnastyką, drugą takąż sumę, tysiąc-frankowemi biletami, z dodatkiem trzech sztuk złota.

Szmer się zrobił w sali.

Zdawało się, że się zaniosło na długą seryę, pierwszą dnia tego; atoli, ile jeszcze

razy wyjdzie czerwony kolor, lub czy już się więcej nie ukaże i skończy na małej zwyczajnej seryjce, oto sęk! oto zagadka dla zniecierpliwionych mędrków zielonego pola.

Cokolwiek bądź, gdy wytrawni gracze, mianowicie Anglicy, gotowali się dopiero do szturm banku, wydobywając swoje grube pularesy, nasz hołysz Galileusz i adjutant Maksymiliana był już panem ładnej kwoty 10,240 fr., zdobytej na jedną czterdziesto-frankówkę, za ósmym z porządku obrotem rulety.

Kilka gładkich kokotek, znających z reputacyi majora, widząc go siedzącego z grymasami przed wspaniałą garścią rulonów i banknotów, przybiegało do niego wyszczerzając zębki, w chęci pożyczania po parę ludwików; atoli oburkiwał się na nie, jak smolny odyniec na młode ogary, co go kęsały po najdrażliwszych częściach.

•Rouge• po raz dziewiąty wygrał.

Ztąd suma przed majorem leżąca wzrosła za jednym zamachem do 20,480 franków.

Nigdy w życiu nie był świadkiem podobnego cudu. Ta łatwość robienia pieniędzy gorszyła go bez wątpienia; lecz z drugiej strony powabna sumka przeszło 20,000 fr. lechtała go po sercu.

Z ochotą nawet posuwał na miejsce przeznaczenia zabłąkanego luidora, gdy ten potoczył się ku niemu, rzucony nie wprawną dłonią przez któregoś z graczy. Był dumnym ze swego przy stole uczestnictwa, bez poddania się pokusie, i litował się w duszy nad ułomnymi, którzy zatrzymywali oddech, oczekując co chwila wzbogacenia się albo ruiny ich majątku.

Wszystko to pięknie!

Lecz gdy zwowu zerknął na zalotną sumkę Władysława, jakieś nieznane nastąpiło w umyśle jego przeobrażenie, i pomyślał sobie: ha! jeśli spaść z konia, to przynajmniej z dobrego.

Dziwne to przeistoczenie wywarła na nim ruleta w przeciągu kwadransa, odkąd odpędził od niej swoim zjawieniem się zakochanego, który wyniósł się cichaczem do gajku marzyć o jego córce, w słodkiej nadziei spotkania jej na przechadzce wraz z ciotką pobożną.

Tymczasem w sali znowu korbą zakrecono, i szatańska gałka potoczyła się pędem.

— Combien à la masse, monsieur? — zapytał bankier osowiałego w zadumie majora.

— Ależ — odrzekł, jękając się, zarumieniony jak grzesznik, którego schwyca na u-

czynku — ależ... ja nie wiem... to nie ja...
wszak moje znane powszechnie zasady....

— Zasady pańskie — zaczął tłumaczyć najbliższy krupier — nie mogą zmienić instrukcyi Zakładu. Maximum u nas wynosi 12,000, stawka zaś pańska wzrosła aż do dwudziestu, więc całkowitej zostawić nie można.

Wszystkich oczy zwróciły się na starego szermierza, który rozzuchwalił się grać więcej niż maximami.

Spojrzenia te ciekawości publicznej ciążyły jak ołów na sumieniu majora. Jeszcze raz potoczył nieśmiałym wzrokiem, w nadziei zoczenia przecież gdziekolwiek i przyzwania swego paliwody; ale krupier, nie mogący tracić na próżno drogiego czasu, zostawił z wygranego kapitału 12,000 na stole, a resztę złożył przed majorem.

•Do stu granatów! bomb! i kartaczy! zostałem więc szulerem.... wlałem jak Piłat w credo... dziwna historia... piekielna.

Z temi myślami zdało się majorowi, iż podłoga się z nim obraca, że mu szumi w uszach i złociste zygzaki wiją się w źrenicy. Chwycił się z całej siły za poręcz od krzesła i... zamrużył oczy.

Gdy je roztworzył rouge wyszedł dzięsiąty raz.

Krupier ze zwyczajną flegmą złożył maximum dwunastu biletami pod nosem majora.

„Zresztą” myślał sobie dalej „nie wycho-
dzą z mych zasad; nie czynię żadnych szuler-
skich kombinacyj; zostawiam stawkę na miej-
scu, gdzie ją położył Władysław; a że mi od-
dają nadwyżkę po nad przeznaczoną cyfrę u-
stawą tego szanownego Zakładu, nie moja w tem
wina, wcale nie moja... mam sumienie czyste.”

Major rozumował, gdy ruletę kręcono. Ko-
lor czerwony doszedł do dziewiętnastu razy, i
dopóty maximum składano przed majorem, aż
za dwudziestym „noir” przeważył i pochłonał
ostatnią stawkę dwunastu tysięcy.

Wygrany kapitał wynosił zatem 138,480 fr.;
major z pomocą innych, zbankował bank je-
dnego warsztatu, inaczej mówiąc stołu.

Wiwat! zawołano do koła, i klaskać za-
częto.

Rozpromieniony Mercénier, wmówiwszy wte-
dy w siebie, że skoro wlaź między wrony,
musi krakać jak i one, i że tem samem nie
ma prawa opuścić skarbu Władysława, odkąd
pierwszą kwotę przyjął w swój depozyt, dobył
z surduta zatłuszczony pulares, a wpakowaw-
szy doń papiery, rulony zaś do kieszeni, życzył
publiczności dobrej nocy, podczas, gdy jakiś

student heidelbergski drwił z bankiera, pokazując mu figle na nosie.

Ale na odgłos oklasków nadbiegli od innych stołów i z innych salonów goście, dowiedziawszy się zaś co zaszło, chwycili z tryumfem szpakowatego gladyatora na ręce; gryzетки zaczęły go skubać, dopominając się natarczywie, już to o darowiznę Ludwika przez wzgląd na wdzięki niewieście, już o pożyczkę, jako zgranem koleżankom.

Major odgryzał się z początku heroicznie, atoli w końcu owładnięty szalem, strojne żebraczki hojnie obdzielał pieniędzmi, zapomniawszy, że nie są jego własnością.

W tem podszedł do niego zgrany do nitki Burakini, i z przekąsem zazdrości tak się odezwał:

— Ani słowa!... Major Mercénier odważny, lecz pan Mercénier nie bez skazy. I w cóż się też to, mój Boże, obróciły jego zasady?!... Zarobiło się dukaty, a straciło się stoicką sławę, i do tego w obec tysiąca świadków federacyi europejskiej!...

— Ależ, do stu granatów! przysięgam, że rozsiałbym te blaszki i bilety na cztery wiatry, gdybym się nie poczuwał do pewnego obowiązku dla kogoś. To nie ja grałem, to duch

Władysława. Kapitał 138,480 franciszkanów zaniosę mu zaraz z honorarui wojskowemi.

Eh! te kanalie gryzетки — dodał z goryczą opamiętały major — wyłudziły ze mnie kilkanaście ludwików. Ha! twoja strata stary... —

Burakini, wybladły i ze spuszczoną głową, chwiejnym krokiem opuścił salę.

Lecz nowy kłopot dla majora.

Odgłos rozbicia przez niego banku zaleciał do ustronnych salonów, gdzie tylko ludzie uprzywilejowani, o nakrytych koronami imionach i gęstych minach, zwykli byli prywatnie ogrywać się w faraona i diabełka.

Na tę wieść kilka wytwornych pań porzuciło swoje towarzystwo i udało się w procesyi z oracyą do błogosławionego na porządku dziennym, potrząsając mu przed oczyma haftowanym workiem.

— Ogromne mienie dla pana — rzekła najdystyngowańsza szulerka i kwestarka razem — a co na szpital? Wygrywający winien się dzielić z biednymi.

— Hm, hm! — mruknął stary oryginał — ja się w to nie wdaję, jasne panie... i nie umiem mówić publicznie... ani też grać.. wie-rzajcie mi panie! Nie jestem też filantropem, ale prawym wojakiem... i także należę do legitymistów.... mam dzieci, rodzinę na karku.

Na zasadach mi nie zbywa, lecz pieniędzy brak...
brak! Oto pięć franków, żeby nie powiedziano,
iż Mercénier kutwa. Niech Galicyanin da wię-
cej! Kłaniam uniżenie paniom. —

I po tej perorze wybiegł z domu roz-
mowy, a rozmarzony Władysław ukazał się
wkrótce na progu.

W tejże samej chwili błysnął ogień w cie-
mnościach parku, a huk wystrzału rozniósł e-
cho na okolicę.

Mnóstwo osób pospieszyło w tamtą stronę.



V.

Szczęście kołem się toczy.

Nie wierz Fortanie co siedzi wysoko,
Miej na puślednie koła pilne oko!

Burakini w łeb sobie pałał.

Zanim nadbiegliśmy do niego, już czujna policya szulerni zdażyła nas uprzedzić, i wsuwała nieboszczykowi rulonik złota do kieszeni, aby nie było powiedziane, że ów człek się za-
bił z rozpaczy, bo przegrał wszystko.

Stare to i zużyte już wykręty dyrekcyi podobnych Zakładów, a jednak przekupieni gazeciarze w księztewkach, gdzie istnieją gry, nie zwykli na żądanie stron podawać do publicznej wiadomości czynów samobójstwa, opierając się na wzmiankowanych matactwach.

Skoro zwłoki Burakiniego, mówiąc nawiasowo, dość słynnego w Polsce gracza, odniesiono do hotelu Rosyjskiego, gdzie mieszkał, w przekonaniu, iż jeszcze dyszy, Amelka już była w łóżku. A jakkolwiek starano się najciszej z umierającym sprawić, nie zadługo wielki

lament stroskanej małżonki przebudził w hotelu tych, co jako porządni ludzie nie naśladowali nocnych nietoperzy, lecz wcześniej spać poszli.

Czterech czy pięciu podróżnych otworzywszy drzwi swoich stancji, ukazało się w nocnej toalecie ze świecami w ręku na progach; chłopcy hotelowi biegali po korytarzu, posłano po lekarzy, lecz nadaremnie — Burakini wyzionął ducha.

Nazajutrz wieść o skandalu rozeszła się w mieście i w okolicach; potem trupa pochowano, a nieutulona w żalu Amelka włożywszy czarną suknię, w której jej było bardzo do twarzy, wyjechała z powrotem do miejsc rodzinnych. Pięćset franków, znalezionych w kieszeni nieboszczyka, winny jej były wystarczyć na kosztą podróży.

I przestano mówić o tym wypadku.

Pomimo tego drażliwy major, którego widywano przedtem często w towarzystwie samobójcy, był mocno tem okropnem zdarzeniem zawstydzony i postanowił porzucić Baden-Baden, nie zwracając uwagi na rozpacz z tego powodu pięknej Olimpii, ani na usilne prośby swej siostry, aby pozostał na miejscu jeszcze przez czas jakiś.

Wręczając tedy pieniądze Władysławowi, ów srogi dobroczyńca rzekł doń na odjeźdźnem.

„Oto twój majątek! Kosztuje cię on jednego ludora, ja zaś przypłaciłem go honorem; cokolwiek bądź, szanuj ten nabytek, Władysławie, i bywaj mi zdrów... a moją koteczkę, do stu granatów! wybij sobie raz na zawsze z głowy.“

I nieubłagany Francuz wyjechał z rodziną tej samej nocy.

W ślad za nim wyruszył także Władysław, bo cóżby on tam robił, nie widząc swojego bóstwa?...

Z rozbitków towarzyskiego kółka zostałem więc sam wśród obcych mi osób; korzystając zaś z wolnej chwili, rozpatrywałem się bliżej w miejscowości.

Baden-Baden postawione jest jak na wzór dla malarza, jakby umyślnie na krajobraz, pomiędzy lesistemi górami, z których najwyższą poświęcono Merkuremu, bożkowi handlarzy i złodziejów.

Wąziutka rzeczka przerzyna miasto na dwa oddzielne kraje: po jednej stronie na pagórkach i dolinach rozpostarło się mieszczaństwo, rzemieślni, ul pracy, świat powszedni; po drugiej

świat wykwintny, świat spacerów, cudzoziemców, mody, nowin, plotek, zieloności, drzew, kwiatów i romansów.

A cały ten pyszny i bogaty świat i półświat krąży głównie około świątyni badeńskiej, to jest długiego i okazałego gmachu z filarami na froncie, przezwanego „domem rozmowy.“

Katedra w starej części miasta, choć imponuje z wysokiej góry swoim majestatycznym położeniem, choć prowadzą ku niej schody, stokroć mniej jest uczęszczaną, bo chodzą tam tylko prostaczkowie chrystusowi.

Z tamtej strony rzeczułki, u stóp katedry, osiedlił się prawdziwy starożytny, oszczędny, ubogi, religijny Baden, dokąd przybywa jeszcze na targ nie ogolony włościanin w tabaczkowym kusym fraku, w trójgraniastym kapeluszu z harcapem i w kamaszach orzechowego koloru, zupełnie tak, jak chodzili ongi jego przodkowie.

Tam ujrzysz jeszcze u fontanny każdej niemal chwili grupę fartuszkowych, jasnowłosych, o modrych oczach, pulchnych Niemek, ze dzbankami w dłoniach, w perkalikowych sukienkach, z obcisłym małym stanikiem i krótkimi rękawami, przypominających Samarytanki u źródła.

A tutaj, z tej strony, Baden upoetyzowany, kosmopolityczny, Baden z muzyką, tańcami,

oszustami, fajerwerkami, gośćmi porozumiewającymi się różną mową, Baden pełen błyskotnych straganów z fraszkami, pełen klombów, dzienników, książek, rycin, koni wyścigowych, dandyśków, gier i zabaw. Słowem, czego tylko zapragnie myśl swobodna, wesoła, pusta, goniąca przed sobą czas jak motyla, wszystko w niem znajdziesz.

O ile górny Baden jest biedny, choć żyje Bogiem a prawdą, o tyle dolny jest jaśnie wielmożnym, nowoczesnym Europejczykiem, Epikurem, panem nienasyconym, chciwym pieniędzy, choćby miał za nie zbląźnić imię swoje — gdyż na to on żyje, na to oddycha, aby używać, rozkoszować, i wierzy, iż najwyższy szczyt cywilizacji, szczęścia i wielkości narodowej polega na fabrykowaniu miękkich rękawiczek, pachnidła, win, cukrów, gazów, krynolin, much angielskich, syropu doktora Ricorde, tudzież na potędze giełdowej.

Ongi bywało, że dla poruszenia, dla zebrań ludzi w jedno ognisko, potrzeba było wzniosłej idei i uczucia głębokiego; potrzeba było świętych lasów, przybytku Stwórcy, lub cyrku ludowego, krzyża Pańskiego, albo chorągwi narodowej i trąby wojennej.

Teraz wystarcza dla kobiet magazyn z modami, prześlicznymi rannymi stroikami; a dla

panów kieliszek i magazyn z modniarkami, tudzież karczma z kartami i złotem — byle była przyzwoita, w dobrym tonie utrzymywana, gustownie w zwierciadła, jedwabie, brzozy, kryształ, mozajki i różne bławaty ustrojona, i byle, co najgłówniejsza! nie wykraczała przeciw formie i rokowała doczesne korzyści — nasycenie zmysłów.

Mniejsza o to, w jakim kraju istnieje ta wyszczególniająca się gospoda. Panowie, nowocześni poganie znajdują ją wszędzie: za górami i lasami, na krańcu kuli ziemskiej, i polecą do niej jak na lep, grzęznąć jak muchy w miodzie... bo od czegoż byliby panami?!...

Miłe są zaprawdę okolice Baden-Badenu. Wszędzie wygodna żwirówka, obok niej na murawie ścieżki, ławki, cień, drzewa owocowe, krynice, kapliczki, w których płoną lampy, nawet oberże i jakie takie kawiarnie.

Wszędzie, zwłaszcza o wieczornym chłodzie, spotyka się tam w porze letniej mężczyźni i damy, idących pieszo, konnych i w kabryoletach, tudzież jadących na spokojnych osielkach.

I wszędzie, gdzie tylko dasz zarobić Niemcom guldena, dadzą ci z uprzejmością czego żądasz, bo jesteś gość, słaby — tego ostatniego tytułu swego pamiętaj nie zapominać! — przybyłeś kurować się, bawić, próżnować i płacić.

Nadewszystko płacić! bo tylko za zapłatę znoszą tu próżniaków i marnotrawców. Jeżeli dobrze płacisz, chętnie Niemcy przystaną na to że się nazwiesz polskim grafem, a nawet gotowi tytułować cię ekscelencyą, choćbyś był tylko ekonomem — dorobkiewiczem w dobrach u szlachcica.

Nie każą ci także legitymować się z różnobarwnej wstążeczki, jeżeli ją sobie przyczepisz dla szyku w dziurce od surduta. Choćbyś nawet zawiesił order z brylantami twemu pinczerowi na szyi, i przypiął do niej dzwonek, nie wytoczą ci procesu. Pocziwe Niemczyska! oni to wszystko sobie jakoś filozoficznie wytłumaczyć potrafią — to nie tak jak u nas.

A jakież to w Baden-Baden malownicze i wspaniałe zwaliska zamku, panującego nad całą okolicą na wiele mil dokoła! Wyrównywują one niemal pod względem okazałości ruinom heidelberskim. Widok z tamtąd przepyszny; lecz krajobrazów przyrody wzniosłej, rozłożystej, w tysiączne piękności i dzierzganki ubranej, niepodobna naszkicować słowem, to tylko malarz potrafi, chociaż i ten nie zawsze.

Spocząwszy w ozdobnym pokoju kawiarni, przerobionej z jednej ze starych, omszałych komnat rudery, gdy wnijdiesz na jej basztę, obaczysz pod sobą Ren, jak wstęgę na niwach;

obaczysz wieżę strasburską, do której strzelali Prusacy, i wioski i wioseczki rozrzucone na równym obszarze, niby wyspy archipelagu.

Ruiny tego zamczyska mają też swoją historię, atoli są to dzieje, podobne do dziejów wszystkich zabytków feudalnych wieków, których streszczeniem są wyrazy: pycha, praca — potęga, ucisk — możnowładztwo, poddaństwo — baroni i wasale — haracz, wojna, cuda, więzienia, trupy, zgorzeliska, galanterya dla kobiet, czcza sława i inne nędze i mary — a w końcu grzyby, porośle chwastem i pokrzywą, rumowiska i spacer dla próżniaków.

Za przybyciem do Frankfurtu nad Menem, przerzucając w hotelu gazety, rzuciłem okiem na listę podróżnych u wód w Homburgu się znajdujących, w celu utwierdzenia sobie w pamięci nazwisk zamożnych, a niby polskich rodzin, które corocznie na podobnych listach napotykać można; które wiecznie mieszkają za granicą, ciągnąc dochody na swe utrzymanie z domu; które przenoszą dobrowolne włóczęgostwo nad własną ojczyznę, miłą im wtedy tylko, gdy można powrócić do niej, żeby chwycić w swe ręce jej rządy; zupełnie tak, jak trutnie, co to wpadają do ulów, żeby zjeść nagromadzony miód pracowitym pszczołom.

I na liście owych pasożytów, pomiędzy innymi nazwiskami, wyczytałem:

Władysław hr. Z., właściciel dóbr ziemskich w Galicyi, kawaler orderu meksykańskiego, etc.

Ciekawy tedy dalszych przygód naszego bohatera, siadłem na kolej, a za kilkanaście minut stanąwszy w Homburgu, podążyłem do mieszkania Władysława.

Zastałem go w krótkim szlafroczku, szamerowanym po huzarsku. Uwijał się pośród rozrzuconych bezładnie kufereków, sukien, szkatulek, i rozmaitych kosztownych rupieci.

A był zamysłony, jak Maryusz nad zwaliskami Kartaginy.

Postrzegłszy swego dawnego znajomego, poskoczył do mnie ku drzwiom z otwartymi ramionami, i dopomagał w ściągnięciu palta.

— Zjawiasz się jak Opatrzność! — zawołał wreszcie. A dużo masz bracie pieniędzy?

— Około 1,500 franków... a co?...

— O królu! o Krezusie!

— Ależ to cały mój majątek... taka drobnostka, człowiecze...

— Jakto? Być w Homburgu, posiadać 1,500 franków, czyli siedemdziesiąt pięć ludwików w gotówce, i nazywać to drobnostką?... Wresz-

cie, mniejsza o to, ale zafundujesz mi dziś obiad.

— Z najmiłą chęcią.

— O! kiedy ci to tak miło i kiedyś taki szczodry, pozwolisz mi przyprowadzić z sobą i przyjaciół, hrabiego S... z pod Krakowa i p. Gr., galicyjskiego szlachona. Łebskie chłopaki! chociaż goli obydwaj jak święci tureccy i jeszcze dzisiaj, podobnie jak ja, nie jedli śniadania. Bądź łaskaw zbliżyć się trochę do hrabiego, bo to milioner i hojny!... a lada chwila przyjdzie poczta, pojmujesz?...

Spojrzałem z podziwieniem na Władysława.

— Może mię nie dobrze zrozumiałeś. Otóż, mądrej głowie dość na słowie: jestem okradziony... strasznie, fatalnie, przerażająco okradziony!... i ci panowie także... i wielu innych. Wystaw sobie, cały mój majątek z Badenu zrobił hip! w Homburgu. Bank tutejszy zdziczał jak robójnik od dni kilku, choć ma tylko jedno zero; ale tem zerem jakiś szatan wyraźnie kierował i mieszał mi szyki na korzyść tego draba bankiera. Koniec końcem, mój bracie, płótno w kieszeni!

— Czy podobna? ze stu przeszło tysięcy franków... co mówisz, Władysławie?

— Jeszcze raz ci powiadam: płótno w kieszeni!

— O nieszczęśliwy!...

— A teraz prowadź na obiad, Krezusie!

Władysław zrucając szlafroczek i meszty, mówił dalej:

— Chociaż i tu z początku miałem dobry węch i wygrywałem! Już dałem sobie słowo raz zakończyć, wyrzec się pustot życia i zostać porządnym człowiekiem, wyjechawszy z tąd z kapitałem. Już go nawet tymczasowo ulokowałem we Frankfurcie, żeby mię nie korcił; już wybierałem się w drogę, o niczem złem więcej nie myśląc. Chodziłem szczęśliwy i swobodny do sklepów, skupując rozmaite niemieckie fraszki żeby je zawieść do Polski; i figurez-vous, dałem nawet guldena ubogim, żeby się modlili na moją intencję.

Ale cóż... kiedy z torebką podróżną na rzemyku, pełną banknotów, frydryków i luidorów, jechałem do kolei około czerwonego przybytku z japońskimi wazonami na dachu, gdzie człowiek tak rozkoszował, żal mi się zrobiło nie wstąpić tam i nie zjeść na pożegnanie śniadania u Chevet'a. Zresztą — mówiłem sobie — zajrzę na chwilkę, na chwileczkę tylko do głównego cyboryum, i na odczepne rzucę jednego ludwi-

ka na „trente et quarante,“ ma foi! jednego tylko i basta.

I ot! ten jeden huncfot na łapę mię złowił i pociągnął za sobą wszystkie, a nawet porozumiewszy się z lucyperem, dobrał się do baranich skórek, które niestety napowrót z Frankfurtu sprowadziłem. Przeklęte owe telegrafy w tym domu gry! człek nie miał czasu zastanowić się nad tem co robi... Gdyby nie te telegrafy! Oj Fortuno! Fortuno!... ty niestała kokieta z przyrodzenia!

— Nie ten gracz, Władysławie, który gra, lecz ten co się odgrywa. Zyski szulerni obliczone są na namiętności ludzkie, które zwykle nie mają granic. Namiętność przytępia rozum i szlachetne uczucie. Miałeś sto tysięcy, zapragnąłeś miliona; miałbyś był milion, żądałbyś miliarda; i dla tego musiało cię wziąć lichy, w obec stokroć bogatszej od ciebie spółki. Ale kiedy tak się już stało, nie ma co rozpaczać... jakoś to będzie... Ufaj raczej swojej awanturniczej gwiazdzie! Lecz co tu u ciebie w mieszkaniu, jak po zburzeniu Troi?

— Bo, imaginez-vous, tylko co wy dobyłem ze wszystkich szuflad i szufladeczek niepotrzebne cacka i sprawunki, skupowane w lepszych czasach po świecie, aby je ostatecznie ryczałem spieniężyć. Żydzi każą mi

stracić na nich 80 na 100, atoli wiele ten czyni co musi. Przypatrz-no się tej statuetce Wenery!

— A twoja żywa Wenera? a stary Mohikan? a nabożne ciotunie?...

— Lis wymknął mi się z Frankfurtu; znać przeczuł, że go tropię; z ciotkami poróżniłem się listownie; miłość zaś wyperswadowałem sobie od chwili, gdy goły jak bizun zostałem.

— Któż tak się wyraża? Toż lepiej rzec, jak Young swojego czasu: „Jestem sam na świecie, nikt nie myśli o mnie. Ci co robią majątki, mają dużo efronteryi i zatwardziałości serca. Nie nawidzą mię oni z powodu mej dobroci. Ach! wolę umrzeć, niż widzieć ludzi tak zepsutymi.” Na tę nutę spiewaj teraz Władziu, we własnym interesie!

Ale żart żartem, w jakim że to uniwersytecie dowie się człowiek bogaty, co to jest być gołym, jeśli się nie zgra choć raz w życiu do koszuli?...

Z drugiej strony, gdzież, jeśli nie przy zielonym stoliku, zobaczymy najzupełniejszą równość, zniesienie wszelkich socyalnych różnic, wszelkich kast, wszelkiej hierarchii? Tam dopiero panuje prawdziwa demokracja i republika, a królów nie ma innych, oprócz malowanych. Wszak prawda Władziu?

— Dobrze, dobrze! lecz pomówimy o tem u Cheve'ta. Własnie godzina obiadowa się zbliża. Po drodze zabierzemy z sobą kamratów niedoli.

I za godzinę wesoła gawęda, śmiech i wrzawa zapanowały przy wspólnym naszym stole. Jeden drugiego pocieszał, a wszyscy, drwiąc ze swojej biedy, pożerali pieczenie i morskie raki z niezwykłym apetytem.

— Szkoda moi panowie — rzekłem — że powziąwszy zamiar jechania do Homburga, nie studyowaliście tak znakomitych dzieł, jak: *Traité du trente et quarante par Grégoire.* *Traité de la roulette.* tegoż autora. „Przewodnik dla spekulujących na trente et quarante i ruletę.“ Dalej słynne arcydzieło Van-Tenaka, które podaje ogólny sposób wygrywania zawsze w ruletę. I wiele innych głębokich pewników, jak n. p. ten, że według św. Augustyna, 11 jest cyfrą nieszczęśliwą, a Mickiewiczowskie 44.....

— Dałbyś pokój z twoją nudną erudycją — przerwał zniecierpliwiony i czujący wstręt do książek Władzio.

I zaczęły natomiast krążyć różne facecye o panu Blanc, dyrektorze Zakładu, którego nazywano czarniejszym od piekła. Nakoniec wymyślano różne zdrowia, żeby więcej wypić. Gdy

zaś wzniesiono toast na zdrowie Olimpii, Władysław smutno potrząsnął głową i nalał sobie szklanicę wina, którą duszkiem wychylił.

— Co tam, Władysławie! — wykrzyknął hrabia S... — ale przynajmniej zadawałeś szyku, co się zowie szyku, pomiędzy Niemcami.

— Żeby to tylko pomiędzy Szwabami! — ofuknął zagadnięty — ale, ma foi! przeczytajcie ten oto list, a zobaczycie, że skoro się tylko z gazet w Galicyi dowiedziano, że mam pieniądze, przedsiębiorcy jednego z banków we Lwim grodzie zaproponowali mi wejście z nimi w spółkę z kapitałem 50.000 złr., zapewniając synekurę, to jest posadę, bez pracy, Verwaltungsratha, z roczną pensją 12.000, tudzież procenta od kapitału i procent od procentów, znaczną dywidendę i wielkie wzięcie w arystokratycznym świecie tak zwanych „mameluków“ lwowskich. I to wszystko, mój Boże, jak na panewce, bziuk!...

— Bank galicyjski — przerwał pan Gr. — nie wielki to zaszczyt, mój bracie. Co tam obdzierać na sto od sta procentów i tak obdarty już naród, bawić się w gałganiarzy! Ale mnie, gdym był jeszcze trochę kosmaty, jakiś Zmartwychwstaniec z Rzymu ofiarował order papieżki z błogosławieństwem Ojca św., za cenę tysiąca

franków; lecz rozumie się nie przyjąłem — grosz to rzecz najlepsza!

Odmówiłem także patentu na doktora praw, który mi nadesłał kustosz uniwersytetu z Getyngi, z warunkiem taksy stempłowej i pieczęci w blaszanej puszcze, w kwocie pięćdziesięciu talarów.

— Orderu szkoda! władza zawsze władzą! — zawołał Władzio trochę cięty trunkiem — ale dyplomy, patenty naukowe, to kolosalne głupstwo! Nic nie pomoże oświecać zewnątrz głowę, gdy wewnątrz światła nie staje. Lecz, moi drodzy, żebyście wiedzieli jak mię to cieszyło, gdy człek, nie będąc jeszcze goły, ile razy wychodził z hotelu, widział kelnerów stojących przed sobą rzędem. Zawsze im rzucałem po talarze — to też znali mores i wiedzieli, żem jaśnie wielmożny. Toż i rumaki Ossolińskiego gubiły srebrne podkowy, gdy wjeżdżał do Rzymu.

Albo naprzykład na wyścigach, jak to gła-
skało po sercu, gdy piękne panie spoglądały
łaskawie na Władzia, he!... na jego kasztanka
z żokejem w czerwonym spencerku z kanarko-
wemi rękawami, i gdy szeptały, że byłoby
sławą mieć takiego męża... he!

— Oj prawda, kobietki, kobietki, to grunt! —
rzekł oblizując się hrabia S.***

A potem cała drużyna zanuciła chórem:

Rozkosz zawsze z nami!
Pędźmy z nią czas mile!
Z winem, z kokotkami,
Kończmy błogie chwile!

• — Après nous le déluge! — wykrzyknął Władysław.

— Co znaczy, że „po nas potop!“. — powtórzyli koledzy w brylantowym humorze — Bravissimo!...

Po czarnej kawie pożegnałem tych znacznych obywateli, wetknąwszy każdemu po kilka guldenów do ręki, żeby nie pomarli z głodu, nim poczta z kraju nadejdzie.



— A teraz nasz gość...
 — Go znaczy, że po nas bójka...
 — Wstąpiłi kolebki w dyktantowym humorze...
 — Wstąpiłi kolebki w dyktantowym humorze...
 — Wstąpiłi kolebki w dyktantowym humorze...
 — Wstąpiłi kolebki w dyktantowym humorze...

— Wstąpiłi kolebki w dyktantowym humorze...
 — Wstąpiłi kolebki w dyktantowym humorze...
 — Wstąpiłi kolebki w dyktantowym humorze...
 — Wstąpiłi kolebki w dyktantowym humorze...
 — Wstąpiłi kolebki w dyktantowym humorze...
 — Wstąpiłi kolebki w dyktantowym humorze...

— Wstąpiłi kolebki w dyktantowym humorze...
 — Wstąpiłi kolebki w dyktantowym humorze...
 — Wstąpiłi kolebki w dyktantowym humorze...
 — Wstąpiłi kolebki w dyktantowym humorze...
 — Wstąpiłi kolebki w dyktantowym humorze...
 — Wstąpiłi kolebki w dyktantowym humorze...

VI.

Osada na obczyźnie. — Frankfurt i piękna Aryadna.

Choć dzwon nie czuje, choć dzwon nie działa,
Jemu jednemu ludzkość pobożna
Chrzta dozwoliła, bo przeczuwała,
Że samem sercem zbawić się można.

W pobliżu Homburga istnieje po dziś dzień osada francuzka. Jest to wieś, zwana Fridrichsdorf, przedstawiająca nader zajmujący widok dla każdego badacza dziejów ludzkości i gnębiomych narodów. Schronili się tam wychodźcy, prześladowani przez Ludwika XIV, potomkowie zaś ich zachowali dotąd język swych praojców, ich zwyczaje, obyczaje i religię.

Kolonia Fridrichsdorf, położona wśród uroczej i żyznej doliny, okolona gajami, zdaje się być oddzieloną od reszty świata, wystarczającą o własnych siłach swoim potrzebom, pogrążoną w swej przeszłości i tradycji. Wielu jej mieszkańców nie umie mówić po niemiecku, chociaż urodzili się pomiędzy Niemcami i są dokoła nimi otoczeni.

Zwiedzając we Fridrichsdorfie garbarnię i fabrykę safianów, i tam nawet z podziwieniem napotkałem polskich emigrantów z powstania 1863 r., jakoto: p. Szuksztę z Litwy, Nie-wiarowskiego, Orłowskiego z Korony, i innych, których nazwisk w tej chwili sobie nie przypominam.

Zdybawszy się tedy, jako rozproszone dzieci jednej macierzy, odbyliśmy razem przechadzkę po wsi.

Zauważyłem, że wszędzie napisy na wiejskich sklepikach, tudzież nad drzwiami rzemieślników były po francuzku i że zarówno majstrowie jak ich czeladź mówili między sobą starym rodzinnym językiem, którego nie zdołał spożyć wpływ germanizmu.

Zaprawdę, zapomina się tam, iż jest się w dolinie niemieckiego faterlandu, słysząc na ulicach, w oberży, w kościele, z ambony, w szkole, słowem wszędzie miłą dla ucha Polaka mowę francuzką z jej dawnymi wyrażeniami.

I mimowolnie nasuwają się na pamięć zdania Libelta, gdzie między innymi słusznie powiada: „Z rozbitej nawy narodowej, na jednej łodzi języka naszego możemy się ratować. Umilujmyż ten język! jako świętą krew matki. Powinna ona nam być tak drogą, jak drogą była pierwszym chrześcianom krew przelana w me-

czeństwie za Chrystusa. Zbierali ją w flaszeczki i dawali męczennikowi do grobu z napisem: pro Christo. Podobna zasługa jest uprawia-czy języka narodowego, i dzieła ich powinny im być dawane do trumny z napisem: pro patria.

Dwa przykłady, Greków i Rzymian, aż nadto nas przeświadczają o potędze języków narodowych. Wykreślone są z karty jeograficznej dwa te najslawniejsze narody, a imię ich, w porządku historii politycznej i moralnej, błyszczą przed wszystkiemi.

We Fridrichsdorfie przemysł i język jest francuzki; co zaś do religii, postrzeżesz tam od razu surowy protestantyzm, ów ostry purytanizm, dla którego pierwotni wyznawcy jego zasad stali się wygnańcami. Cytacye Biblii zanadto często mieszane tam bywają do rozmów zwyczajnych; a duch niezależności wpoił w pamięć każdego mieszkańca listę przywilejów, nadanych gminie od czasu jej założenia. Każdy z nich zna jak pacierz przysługujące mu prawa i swoje obowiązki; każdy jest żywym, chodzącym kodeksem.

Jest to rodzaj maluchnej Rzeczypospolitej, rządzonej przez obieralnego głosowaniem mera (wójta gminy), tudzież przez pastora, z wyjąt-

kiem opłaty podatków, które kolonia składała do ostatnich wojennych czasów poborcy landgrafa hesko-homburskiego, serdecznego jej protektora.

Chcąc odesłać list do Homburga, polskim zwyczajem, przyzwałem do siebie karczmarza, z żądaniem, aby mi dał jakiego chłopca na posłańca.

— U nas nie ma chłopów — odrzekł z przyciskiem. Wszyscy tu jesteście Francuzami i obywatelami, wszyscy jesteście bracią, równą między sobą.

I po tych słowach oddalił się, z podniesioną dumnie głową.

Z uczuciem wewnętrznego zadowolenia patrzyłem za odchodzącym.

A jednak co to znaczy gałęź od pnia narodowego odłamana pod względem postępu! Obywatele tej Republiki w miniaturze, prawie nie a przynajmniej bardzo mało wiedzieli o wielkiej rewolucyi francuzkiej — a umysł ich rozwijał się powolnie własnymi ich czynnikami. Doszli oni dopiero u siebie do pojęć panujących we Francyi w ubiegłym stuleciu; dzieła zaś encyklopedystów XVIII wieku, które się kilka lat temu dostały do kolonii, wywołały tam wrażenie, którego się przeląkł pobożny pa-

stor miejscowy, gorliwy o zbawienie dusz owieczek swej trzody.

* * *

Powróciwszy do Frankfurtu, postrzegłem na wstępie Orła białego. Przetarłszy pokryte pyłem podróżnym szkiełka, jeszcze raz nań spojrziałem, żeby się przekonać, czy to nie jest złudzenie.

Ale nie — była to najrzeczywistsza rzeczywistość! Jednogłowy orzeł biały jaśniał jeszcze w polu czerwonym na jednym z publicznych gmachów, jako herb wolnego miasta Frankfurtu.

Westchnałem ciężko i głęboko.

Dziś już zapewne ów herb zdjęli Prusacy.

Podczas kilkorazowego pobytu w Frankfurcie, spotykałem się tam z nimi, zarówno jak i z Niemcami drobnych księstw Rzeszy. Rozmawialiśmy często z sobą, a nie mogłem się wstrzymać od oburzenia, przysłuchując się głoszonem przez nich zasadam, ubarwionem czcemi sofizmatami.

Może to i słusznie Bismark orzekł, że każdy Niemiec gdyby mógł mieć oddzielnego dla się króla, chętnieby przystał na to. Przy-

pomina mi się tu bajka Ezopa o żabach i bocianie.

Ta otwartość okazała mi się być złą wróżbą na przyszłość, choć jeszcze nie umiałem zdać sobie wówczas jasnego rachunku z przeczuc moich. Fakta atoli późniejsze najzupełniej je usprawiedliwiły, niestety!...

Przejechawszy Niemcy od Wschodu do Zachodu, od Południa ku Północy, nie wyłączając Wiednia, wszędzie słyszałem doktrynerów i deklamatorów wyrzekających w imię jedności państwa niemieckiego przeciw księstwom małych posesyonatów. O Prusach zaś i Austrii ani słowa! Zostawiano tylko do domysłu, że są to wrogowie, z którymi się kiedyś zładzi, a których obłuda nie jest wcale niebezpieczną.

Ta idea państwowa zawsze mię drażniła.

Otóż skończyło się na tem, iż owładnięty nią ów potężny naród niemiecki, znany z pokojowego usposobienia, którego zresztą sławiona filozofia okazała się w konsekwencji przestarzałą tylko teorią pan heizmu, musiał wykonać to wszystko, co mu rząd pruski nakazał.

Musiał — mówię — uleść wybornej organizacyi i dyscyplinie wojskowej, a nawet stać się zaborcą sąsiada, gdy mu tak kazano.

Oto są skutki monarchicznej centralizacji, dającej zawsze pole do popisu despotom w imię ołtarza i cywilizacji narodowej, do przewodnictwa w której nie mają najmniejszego prawa — gdyż w głównych kwestiach, to jest filantropijnych i w ogóle humanitarnych, śmiało ich nazwiska mogą być wykreślone z poczetu zasłużonych mężów zaufania.

O! Niemcy — łatwo wam było zładzić w r. 1848 z udziałnymi książątkami Rzeszy; lecz nie prędko wygoicie się z ran, jakie wam zadadzą w przyszłości bagnety spekulujących centralistów i podpalacze zrozwaczeni!... Im więcej bagnetów w ręku jednego, tem większe nieszczęście.

We Frankfurcie nad Menem, który prawie wczoraj jeszcze był wolnem miastem handlowem, zauważyłem różnemi czasy trzy rzeczy, a mianowicie: ulicę żydowską — przyjaźń dla Austrii i nienawiść ku Prusakom.

Ulicę żydowską zaludniali przed kilkunastu laty prawdziwi naśladowcy mściwego Jehowy, podobni zawziętością na chrześcian do szekspirowskiego Shyloka, a na innych ulicach mieszkali prawdziwi chrześcianie, nienawidzący z całego serca Żydów.

Przed kilkunastu laty nie przypuszczano tam jeszcze, że skupienie wszystkich wyznań

w jeden kościół powszechny stanie się dążnością; a ogarnięcie tą unią duchowną wszystkich plemion i wszystkich ludów, będzie może kiedyś po tysiącach lat, dopełnieniem ostatecznych przeznaczeń rodu ludzkiego.

Dziś atoli cywilizacja niemiecka zatarła tam nieco oryginalność typu dawniejszego Żydów; pomimo to jednak uderza każdego przybysza w obecnym pięknym Frankfurcie, w tej rezydencji bogatych kupców i rodziny Rotszyldów, otoczonej ogrodem angielskim, wązki przesmyk, długi, posępny, zapowietrzony, z okopconemi drewnianemi domami, wspartemi jeden na drugim, o wysokich spiczastych dachach, gdzie w dzień szabasu drzwi i okienice są pozamykane i panuje cisza jak w grobie.

Obaczysz tam wtedy tylko przesuwając się z domu do domu, podobną do sowy, starą żydowicę w perłowej bindzie i dziwacznym stroju, która ci za chwilę niknie, niby widmo, w sieni ciemnej jak piwnica.

Opowiadają, że na tej właśnie ulicy mieszkała matka baronów Rotszyldów. Winszuję, ale nie zazdroszczę!...

Opowiadają także, iż przed czterdziestu laty ta ulica żydowska była opatrzoną na obu końcach żelaznemi bramami, i że tam wszystkich Izraelitów z miasta i z okolic spędzano

na noc, a potem bramy zasuwano na rygle zewnątrz, jak gdyby z ostrożności od zadżumionych. Zamknięci zaś barykadowali się na wewnątrz, jak gdyby przez obawę nocnego szturm nieprzyjaciół swoich.

Dziś ci nieprzyjaciele żyją zobopólnie w zgodzie, robiąc razem interesa pieniężne; a Żydzi stali się tam finansową potęgą, usiłującą prowadzić na pasku współobywateli do swych celów... kto wie czy nie na zatracenie.

Ale zarówno oni z całym bankiem Rothszylda, ich naturalnego i niezaprzeczonego protektora, jak i mieszczaństwo frankfurckie, składające niegdyś patrycyat miasta — tudzież potomkowie licznych rodzin francuzkich, które będąc tam na emigracyi, przemysłem swoim i cywilizacją stanęły na szczycie towarzystwa niemieckiego; — cała ta ludność, nie cierpiąca z duszy Prusaków, okazuje wiele przychylności dla Austrii, bo ta przyczyniła się najbardziej do jej niezależności i dobrobytu.

Dom więc Habsburgów jest u tych wszystkich pokoleń okryty urokiem historycznego znaczenia.

Oprócz powyżej wzmiankowanych ras, różniących się już to wyrazem twarzy, najwybitniej zdradzającym ich pochodzenie, już religią

i mową, jeżeli chcesz ujrzeć przechowaną w całej czystości rasę saksońską, przejdź most postawiony przez Rzymian na Menie, i rzuć okiem na przedmieście Saxenhausen, gdzie utrzymali typ swój i obyczaje koloniści saksońscy, osiedli tam za Karola Wielkiego.

Członkowie tej kolonii żyjąc razem — podobnie jak Francuzi we Fridrichsdorfie — i łącząc się tylko między sobą, zachowali także i surowość starożytnych Saksonów, która przy dzisiejszym postępie języka i oświaty ich sąsiadów, zakrawa na grubiaństwo.

Przedmieście Saxenhausen jakim było z dawien dawna, takim dotąd pozostało, jak muśmia zakonserwowana pod kloszem.

Różne a zabawne krążą podania o jego mieszkańcach, w których atoli przebija się protestacya słabego przeciw mocnemu, uciśnionego przeciw ciemieńczy.

Z tego powodu zasługują na wspomnienie:

I tak, gdy podczas wylewu Menu elektor heski w skromnem bardzo ubraniu, zjechał incognito na miejsce, aby się przekonać naocznie o zrzędzonych szkodach, napotkał jednego z owych przedmieszczan i zagadał doń:

— A co, przyjacielu, wszak Men coraz bardziej przybiera?

— Czyż tego sam nie widzisz gawronie, że się pytasz? — odrzekł spokojnie pałac fajkę Saksończyk.

Idąc dalej, mieszczanin ów, zdybuje staro-
rego kamrata, który powiada mu:

— Wieszże ty z kim rozmawiałeś?

— Nie wiem.

— Z samym elektorem.

— Tam do kata!... ale przynajmniej rad,
że byłem dla niego grzeczny.

Inne zdarzenie miało miejsce w teatrze.
Kupiec jakiś wsparłszy się nieco na swoim ro-
daku z po za Menu, na jego opryskliwe obru-
szenie się zawołał:

— Przepraszam bardzo, żem może pana nie-
chcący trącił.

A na to mu rodak z po za Menu:

— O, ba!... gdybyś mię tylko trącił, to
trzasnąłbym cię w papę, ażby ci się prababka
przyśniła.

Nikt z miejscowych za podobne kompli-
menta nie gniewa się wcale; lecz uznając ich
naiwność historyczną, przyjmuje je za dobrą
monetę.

Wiadomo, iż garnizon Frankfurta składał
się od r. 1815 aż do ostatnich czasów z dwóch
opiekuńczych oddziałów: pruskiego i austryac-
kiego.

Otóż któryś z oficerów pruskich pokazywał swoim przyjaciółom, przybyłym z Berlina, ciekawości miasta.

Gdy wstąpili do starożytnej i wspaniałej budowli kościoła katedralnego, zakrystyan Sakszończyk pokazując im złote serca, srebrne czaszki, ręce i nogi, pomiędzy innymi wotami ukazał także myszkę ulaną ze srebra.

— A to co znaczy? — zagadnął zdjęty ciekawością oficer?

— To znaczy, mój dobrodzieju — odpowiedział zakrystyan — że grasowała tu swojego czasu plaga Boża... okropna plaga! Całe miasto ujrzało się przepelnione rojami myszy, które pożerały wszystko. Nie nie pomogły koty sprowadzone z okolic. Wtedy pewna pobożna dama przyniosła tę myszkę na ofiarę. I stało się, że wszystkie myszy wyniesły się ztąd hurtem...

— Zabobony... zabobony! — przerwał stupajka. Trzeba być ograniczonym jak Frankfurtczycy, ażeby wierzyć w podobne gusła.

— My o nich mówimy — odrzekł zakrystyan — ale w nie nie wierzymy. Gdybyśmy wierzyli, jużbyśmy dawno ofiarowali Matce Boskiej srebrnego Prusaka.

Frankfurt zresztą jest miastem dla artysty przyjemnem, gdzie bankierzy, podobnie jak niegdyś kupcy genueńscy, na sztukach się znają,

lubią je i opiekują się niemi. Rzadko grodu, nie mówiąc naturalnie o Włoszech, żeby posiadał więcej prywatnych zbiorów malarstwa i rzeźby. Jest to tam nawet modą, próżnością. Właściciele pozwalają każdemu wolnego wstępu do swoich galeryi, szcząc się niemi.

Mnóstwo obaczysz we Frankfurcie kamienie z karytydami, dźwigającemi gzymsy. Widok zaprawdę oryginalny! Ujrzysz tam rogatych satyrów, faunów, nimfy, karłów, olbrzymów, sfinksów, smoków, łowionych w mitologiach rozmaitych narodowości.

Jedne z nich podpierają barkami balkony, i zdają się stękać, upadać pod gniołącym je brzemieniem. Innym ciężą na karkach całe wieże, łuki, i sześciopiętrowe gmachy, pomimo to miny mają dobre. A są i takie, które ukazują, jakby z przechwałką, jedno ramię wolne od ciężaru, grożąc w dodatku pięścią publiczności.

Przed hotelem Rzymskim obaczysz nawet na ulicy, kolosalnej wielkości cesarza rzymskiego, z jego wielką peruką, w szerokim płaszczu, siedzącego na tronie pod baldachinem.

Wnosić wypada, iż było w zwyczaju dawnych mieszczan wolnego miasta opierać mury swoich rozkosznych rezydencyi na karkach, już to z wyrazem cierpienia, już wesołych i drwiących sobie z przechodniów swojemi wydrzeźnie-



miami, bożków. Gdyby te postacie ożyły, dałyby się one więcej od Prusaków weznaki Frankfurtczykom za tak niemiłosierne ich gnębienie.

Lecz jeżeli jesteś w tym malowniczym grodzie ludzkich figur, nie zapomnij zwiedzić marmurowego posagu Aryadny (własność prywatna) dłuta Danneckera, bo rzadko coś piękniejszego spotkasz w Europie. Nowoczesne rzeźbiarstwo nie zapewne godniejszego nie wydało, cooby nam więcej przypominało klasyczne dzieła Greków.

Aryadna, owa niebezpieczna bachantka, jedzie na panterze, zadumana o niewdzięczności kochanka, z czołem ku słońcu podniesionem.

Postać ta świetlana porywa widza szczególniejszym wdziękiem swoim gdzieś w światy bajeczne.

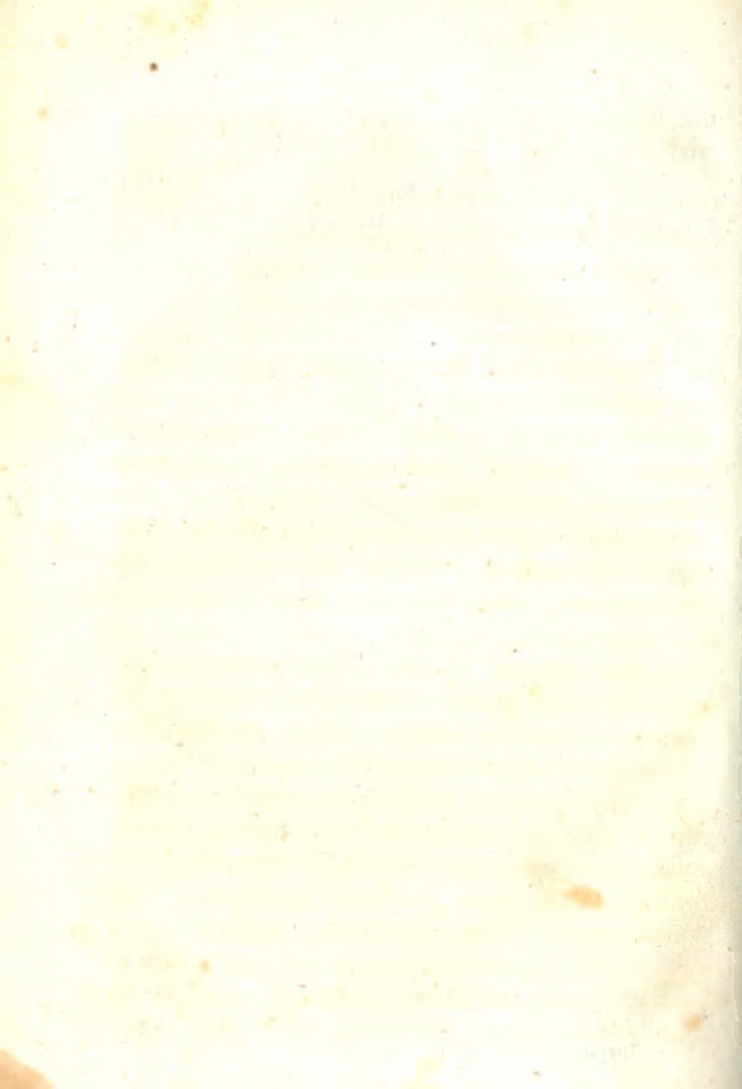
Nie jest to przygnębiona niewiernością Tezeusza opuszczona dziewa; ale pyszna córka królewska i żona bożka! Ktoby ją znienacka obaczył w noc księżycową, padłby na kolana przed nią.

Pantera Aryadny znać boi się potęgi swej pani, gdyż kroczy powoli. Córka zaś Minosa zarzuciwszy na jej grzbiet nogę, w jednej ręce wspartej niedbale na karku posłusznego zwierza

ma luźne wędzidło, a drugą przytrzymuje rozwianą na sobie, a leciuchną szatę.

Cała ta kompozycya, będąca rzeczywistem arcydziełem, zasługuje na uwagę podróżników.





VII.

U kolosu Goeth'ego.

»Krzyknęli: nie pozwalam!
uciekli na Pragę.«

Któż to na piedestale stoi z odkrytą głową w długim złocistym surducie na głównym placu we Frankfurcie? Pod stopami jego skreślone rylcem sceny z Fausta, a postać alegoryczna Mefistofelesa czyni im honory. Istoty nadprzyrodzone odgrywają tam role w łączności z ludźmi.

To w olbrzymich rozmiarach Goethe; mistrz nowej romantyczno-metafizycznej szkoły poetów, długo wyklinanej przez klasyków, wraz z brązowym wizerunkiem swego arcydzieła.

Postacie owego niemieckiego twórcy i mistrza, będące uosobieniem dziejów życia duchowego: wyrzutów sumienia, namiętności, rozpacz, itd. są rzeczywiście nowemi, jako wprowadzone do trajedyi nie tyle dla gry scenicznej (jak to n. p. uczynił Szekspir z cieniem Hamleta), ile dla obudzenia i rozwoju myśli filozoficznej.

Goethe pierwszy nie opierał utworów swoich na średniowiecznej wierze, tak charakteryzującej dawniejsze poemata, ale na sceptycyzmie, stanowiącym epokę przechodową.

Mickiewicz przyjął te szkołę. „Dziady“ z improwizacją Konrada, pomimo przymieszki katolicyzmu, są najlepszym tego dowodem. Lecz wieszcz nasz posunął tę szkołę naprzód i dla tego — wykluczając jego Towianizm — z dzisiejszego punktu zapatrywania się na przedmiot jest wyższym od Goethego.

Goethe nie wprowadza wprawdzie do swego Fausta żadnych istot sakramentalnych, z suchemi morałami w ustach, lecz upoetyzowanych liryzmem i dowcipem diabłów, z całą potęgą ich czarów.

Na widok okrutnego szatana, urągającego się z Boga, druzgocącego człowieka obuchem przemocy piekielnej, mimowolnie dreszcz cię porywa; ale śmiejesz się także, skoro poniżać on zacznie zbyt wyuzdaną pychę, i znowu płaczesz, gdy nędze natury ludzkiej wzbudzają w twem sercu bolesne politowanie.

Z tem wszystkiem, Goethe jest fatalistą, uważa on człowieka za igraszkę jego własnych namiętności, za samolubną ofiarę dumy i nic więcej. Dzisiejszy pozytywizm Darwinowski jest kreacją jego geniuszu.

Dła tego — niech co chcą mówią i piszą niemieccy krytycy — Goethe patrzący na świat z wysokości swego piedestału, z całym swoim doktorem Faustem i samobójcą Wertherem, przejdzie do późnej potomności jako wielki artysta-literat raczej, niż jako wieszcz-poeta; bo on czuł głową, a nie sercem.

Cokolwiek bądź, pisma jego niezaprzeczenie ważną odgrywają rolę w ogólnej pracowni wielkiego dzieła odrodzenia ludzkości.

W Mickiewiczu przeważa myśl wznioślejsza.

Wprawdzie diabli naszego wiekopomnego Adama, ten rój gońców carskich, odnosi chwilowo zwycięstwo nad materyą; atoli w walce z ludźmi, oczyszczonymi w dziedzinie ducha przez męczeństwo, siła ich zostaje skruszoną.

Daremny bunt szatana przeciwko zasadzie zasad — Bogu przedwiecznemu!...

Wrzawa kilkunastu ludzi około posągu Goethe'go przerwała myśli moje. Obejrzawszy się, spostrzegłem gromadę Prusaków w spiczastych hełmach, przebiegających zbrojno i z butną miną ulice spokojnego miasta.

Winienem tu bowiem nadmienić, iż będąc ostatni raz we Frankfurcie w r. 1866, stałem się mimowolnie biernym świadkiem wypadków politycznych, które mię tam zaskoczyły.

Ponieważ wspomnienie naocznego postrzegacza o niektórych zdarzeniach podczas najazdu Prusaków na wolne miasto zainteresować może niejednego, przytoczę tu je pobieżnie; a obaczy czytelnik, jak to Niemcy popisywali się względem braci swoich Niemców, i co to mogą rządy militarne.

W r. 1866, dnia 16. lipca, gdy Frankfurt zamienił się pod strachem oręża pruskiego na główną kwaterę dowodzącego armią, generała barona Falkensteina, ten ogromną nałożył na mieszkańców kontrybucyę; skoro zaś senatorowie miejscowi udali się doń z zamiarem protestu :

— I cóż! — zawołał do wchodzących — czy przynosicie mi okup?

— Winniśmy — odrzekł jeden z przybyłych — objaśnić waszą ekscelencyę, iż nie możemy zadekretować wypłaty przeszło siedmiu milionów złr., jako sumy kontrybucyjnej, zważywszy, że władze miejskie są rozwiązane i nie mamy na to upoważnienia; sami zaś nie posiadamy tak znacznego majątku, abyśmy mogli zastąpić na razie naszych współobywateli.

— To mię nic nie obchodzi! — ofuknął generał. Zdobyłem kraj i nakładam haracz wedle zwyczaju wojennego.

— Pozwól wasza ekscelencya zrobić sobie uwagę, że zdobyć można tylko to, co się broni. Frankfurt zaś, zostający pod rękojmą traktatów, nie myślał o obronie.

— Frankfurt znalazł jednak 24 miliony na pożyczkę dla Austryaków; a więc znajdzie z piętnaście lub szesnaście i dla Prusaków... Co zaś do znanych nam wykrętów przechowywania kosztowności w tutejszych biurach konsulatów zagranicznych, i temu zaradzimy.

— Wątpię, generale — wyjąknął zimno senator — ażeby Niemcy zechcieli traktować po barbarzyńsku Niemców.

— Kto tu mówi o Niemcach, mój panie? Przywiodłem na ten cel umyślnie jeden pułk Poznańczyków z sobą.

— Nie zrobiliśmy nigdy nic złego Polakom, przeciwnie, dawaliśmy im ochronę zarówno przed wami jak i przed Moskalami. Jenerał Umiński długie lata po r. 1830 przebywał u nas. Polacy nie są naszymi nieprzyjaciółmi... nie zechcą nas grabić!

— Obaczymy! — wrzasnął satrapa, tupnąwszy za odchodzącymi senatorami.

Na takie gospodarstwo Prusaków zebrali się najbardziej wpływowi obywatele frankfurtscy a udawszy się do dyrektora banku, skłonili go

do zaliczki miastu żądanych przez wrogów siedmiu milionów.

Falkenstein pieniądze zabrał, i tegoż samego dnia (19. lipca) z miasta ustąpił. Przybył jednak na jego miejsce generał Manteuffel i nową nałożył kontrybucję w bajecznej sumie dwudziestu pięciu milionów złr., mającej być wypłaconą w przeciągu dwudziestu czterech godzin. A działo się to nazajutrz, 20. lipca 1866.

Pokazuje się, że Prusacy najbardziej ze wszystkiego lubią pieniądze.

Przerażeni tym ich wilczym apetytem senatorowie bardzo świetni pełnomocnicy miasta, jak ich nazwał w swoim liście świeży najezdca, zbledli nieboracy.

Według obrachunku Niemców, czytających afisze Manteuffla, porozlepiane na rogach ulic — a wiadomo, iż rachmistrzów posiada najwięcej Frankfurt — gdyby w stosunku ludności tego grodu nałożono podobną kontrybucję na osiemnasto-milionową ludność Prus, toby Prusacy w ogóle musieli zapłacić trzynaście miliardów; na każdą zaś osobę przypadłoby po 700 złr.

Rotszyl d udał się sam do Manteuffla z przedstawieniem niepodobieństwa wypłaty takiego skarbu.

Generał, wysłuchawszy w najgłębszem milczeniu wszystkich jego dowodzeń, odpowiedział:

— Jutro wydam mojej artyleryi polecenie skierowania dział ku głównym punktom miasta; a panom zostawiam trzy dni do namysłu.

Rotszyld dostał czkawki.

Konsulaty dowiedziawszy się o wszystkim, wystosowały jednocześnie protest, opatrzony podpisami obywateli, do wojennego gubernatora.

Jako należący legalnie do Ameryki, podpisałem się na petycyi przedstawiciela Stanów Zjednoczonych.

Podanie amerykańskie było po prostu zapytaniem, wywołaniem „niedorzecznemi pogłoskami, niepokojącemi wszakże mieszkańców, o mającem nastąpić bombardowaniu wolnego miasta“, z żądaniem należytego wyjaśnienia.

Konsulaty nie odebrawszy odpowiedzi, powywieszały u siebie narodowe chorągwie na znak nietykalności, a same odniosły się do głównych posłów swych narodowości. Wtedy dopiero gubernator odpowiedzieć raczył, że choć nie ma obowiązku wdawać się z nimi w urzędowe przepiski, sądzi jednakże, iż im, jako nie miejscowym, nie zagraża żadne niebezpieczeństwo.

Tymczasem kanonierzy z zapalonemi lontami przebiegali dzielnice bezbronnego miasta,

utrzymując punkt operacyjny na placu Goeth'ego.

Prusacy gospodarowali sobie w najlepszej..

Kobiety doznawszy także od ustopniowanego żołdactwa wiele przykrości i upokorzeń, udały się wreszcie za pośrednictwem jednej z dam, dobrze widzianej na dworze pruskim, z prośbą do królowej Augusty o zaradzenie nadużyciom i niesfornym wymogom samowładnych generałów.

I dopiero aż za wstawieniem się godnej swej małżonki, Wilhelm pobożny kontrybucyę nałożoną przez Manteuffla telegrafem odwołał.



W końcu września 1866 r. dowiedziano się, że Frankfurt tracąc swoje wolność, swe przywileje, prawo sejmowe i konfederacyjne, ma być wcielony w dniu 8. października do królestwa pruskiego.

Gdy się ten czas zbliżył, rozkazano zawiesić na wszystkich domach chorągwie koloru czarnego z białym na znak uroczystości. Nikt atoli tego nie uczynił i nikt się na ulicy nie pokazał. Domy i okna były szczelnie pozamykane.

Miasto przedstawiało się jak cmentarz z ogromnemi katakumbami i mrowiskiem żołnierstwa.

Komisarz rządowy ukazał się w gotyckiem oknie i donośnym głosem czytać zaczął:

„Wielka proklamacya jego królewskiej mości Wilhelma I. do mieszkańców byłego wolnego miasta Frankfurtu :

„Patentem obecnie głoszonym przyłączam was, mieszkańcy miasta Frankfurtu nad Menem i jego okręgu, do mych poddanych, a waszych sąsiadów i braci Niemców. Skutkiem wojny i reorganizacyi wspólnej ojczyzny niemieckiej, zostajecie pozbawieni niezależnej odrębności, która dotąd wam przysługiwała, i wstąpiliście do związku wielkiego Państwa, którego ludność jest z wami złączoną językiem, sympatją, obyczajami i wspólnością interesu...“

Po tych słowach rozległ się w rynku płacz i narzekanie.

Wtedy pan komisarz, pokrząknawszy kilka razy, ozwał się na pocieszenie słuchaczy:

„Być może, iż po fakcie dokonanym, ze smutkiem przychodzi wam rozstać się z dawnymi stosunkami, co były drogie dla serc waszych; szanuję zatem wasze uczucia, bo one dają mi rękojmię, iż wy i dzieci wasze będzie-

cie zarówno stale i na zawsze wiernymi mnie i domowi mojemu. Co daj Boże!”

Wilhelm I.

— Niech żyje król Wilhelm I. — wykrzyknął od siebie pan komisarz — niech żyje król pruski!

W tejże samej chwili ukazała się chorągiew o czarnej i białej barwie na szczycie ratusza; a publiczność rozchodziła się smutnie i po cichu. Sama tylko kapela, obciągnięta w mundury pruskie, wygrywała hymn: Heil dir im Siegerkranz, etc.

Łatwo tu da się zastosować zwrotka:

•Ludzi dzisiaj w świecie nie masz,
Są dziś wilki i barany; —
Kto zbyt czuły, by jeść drugich,
Ten dziś bywa sam zjadany.“

KONIEC.



PRZYGODY

TOMASZA STANISŁAWA WOLSKIEGO

ADMIRAŁA FLOTY PAPIEZKIEJ.

(RYS HISTORYCZNY.)

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

Tam gdzie Warta toczy swe nurty spienione, żył swojego czasu Onufry Wolski, szlachcic mienia dobrego, kochający swojszczyznę, zawsze gotów do korda i różańca, szanowany przez rodzinę i sąsiadów, dla których chata jego, zwyczajem staropolskim, stała zawsze otworem.

Wprawdzie do siedziby pana Onufrego, w czasach najazdów dziczy, nie prowadziły żadne drogi, wprawdzie otaczały ją lasy, manowce i knieje; pomimo to każdy z braci szlachty odkrył do niej ścieżkę, gdy chciał zasięgnąć dobrej rady, pomocy, lub spełnić rostruchan na pomyślność gospodarza.

Pan Onufry też zwykł był mawiać, że „gość w dom, Bóg w dom.“

Miał on dwoje dzieci: dziewczynkę Jadwisę i lubego chłopca Tomasza.

Skoro mały doszedł lat ośmiu i odebrał początkowe wychowanie od matki i domowego kapelana, wtedy Jan Czapski, kasztelan Chełmiński, spowinowacony z rodziną Wolskich, narpał się jako bezdzietny, żeby mu oddano chłopca na wychowanie. Nadaremne były łzy matki; pan Onufry wytłumaczył jej, że prędzej czy później rozstałaby się z synem, bo ten doszedłszy do wieku młodzieńczego dostałby stępaka, karabełę, i musiał w świat wyruszyć. I to rzekłszy zakręcił węża i oddał Tomka kasztelanowi, aby za jego pomocą wyszedł na człowieka z pożytkiem dla Boga i ludzi.

Została im na pociechę Jadwisia, która pięknnością i cnotami celowała w okolicy.

Kasztelan prowadził dwór wielce okazały, w jego iglastych borach odbywały się przez orszaki panów z okolicy słynne polowania na dziki i niedźwiedzie; w starożytnych komnatach zamczyska zasiadały matrony w robronach, czekające na mężów, rychło wrócić z łowów lub wypraw rycerskich. Tam to właśnie wychowywał się Tomasz Wolski, a kasztelan miarkując z jego postępu w naukach, że mu nie brak bystrości umysłu i wrodzonego dowcipu, pokładał w nim wielkie nadzieje.

Rodzice cieszyli się też z powodzenia syna i byli spokojni o los swego chłopięcia, przewi-

dując dlań świetną przyszłość i pocieszając się myślą, że o ile z wiekiem chyla się sami ku ziemi, o tyle dziecię ich wzrasta w siłę i męztwo, w bogactwo przymiotów rozumu i serca.

Lecz nie ma na świecie szczęśliwości stałej! Krewni kasztelana, postrzegłszy wzmagające się codziennie przywiązanie jego do dorastającego Tomasza, obawiając się, iżby nie przybrał go za własnego syna i nie oddał mu całego mienia, spiknęli się w celu osłabienia przychylności starca ku młodzianowi.

Jejmość Intryga, gnieźdząca się zwykle w pałacach możnych panów, nie próżnowała w tym razie i przy pomocy dworzan i ich sprzedajnej czeladki dopełniła reszty. Poczęto nasuwać Tomaszowi wszelkie sposobności do nieprzyzwoitych czynów, aby go tem snadniej oczernić przed światem, następnie zaś za pośrednictwem wyrobionej sztucznie opinii spotwarzyć wobec dobrodzieja.

Intryga dopełnia zamierzonego celu.

Tomasz dzięki jej zabiegom, począł wychodzić powoli z łask i zaufania opiekuna, postrzegłszy zaś, iż jest otoczony zewsząd zgrają nieprzychylnych sobie domowników i pieczenia-rzy, sprzykrzył sobie tak niegdyś miły dwór i powrócił do rodziców.

Szczeńciem, że wywiózł był z sobą wiedzę nabytą nauką i doświadczeniem, gdyż za przybyciem w domowe progi zastał ojca obarczonego już wiekiem, podupadłego na majątku i wielce zgryzionego przygodą jedynaka, choć starał się tego nie okazywać. Słowem Tomasz zobaczył od razu, iż nie długo przyjdzie mu popasać pod rodzinną strzechą, i że trzeba w świecie szukać karyery.

Zdarzenie mieć chciało, że jednocześnie bogaty sąsiad Wolskich powziął zamiar wysłania synów swoich dla kształcenia za granicę, oceniając zaś w panu Tomaszu rozwagę, niepospolitą przytomność umysłu, tudzież znajomość obcych języków, prosił ojca, aby mu pozwolił towarzyszyć jego dzieciom w podróży.

Sędziwy starzec, widząc w tem korzyść jedynaka, jakkolwiek czuł się już upadającym na siłach, pobłogosławił synowi i w dodatku ofiarował mu na drogę najdzielniejszego ruma-ka ze stadniny i najlepszą szerpentynę ze zbrojowni swojej.

Następnie kawalkata młodych ludzi wysłuchawszy na klęczkach mszy św., pocałowawszy patynę podaną im przy ołtarzu przez sługę bożego, po tkliwym pożegnaniu ze swoimi puściła się konno w świat szeroki.

Młodzi ci szlachcice zwiedzili Czechy, Austryę, Niemcy, Alpy i Karpaty. Wolski przez cały ciąg podróży oddawał się badaniom miejsc i narodów; lecz jako człowiek wyższego jenu-szu poznał tę prawdę, że w morzu nauk niczem jest kropelka, której nabył w zamku kasztelana, i że mu zbywa jeszcze na elementarnych wiadomościach do odbywania skutecznie studyów za granicą. Rzekłszy tedy do towarzyszków, że aby mózż korzystać, podobnie jak to czynią cudzoziemcy, ze wszystkich darów przyrody, trzeba wykształcić swój umysł na równi z nimi, skłonił kamratów do powrotu do kraju.

Tomasz zastał już ojca na łożu śmiertelnem, jakby oczekującego na syna, żeby mu zamknął powieki; co też i wkrótce nastąpiło.

Jadwisia będąc wtedy dorastającą panienką, pracowitą i wychowaną zwyczajem dawnym na dobrą i rządną gospodynię, zajęła miejsce skolatanej cierpieniami matki i wzięła zarząd domu. Tomasz zaś wystawiwszy nagrobek p. Onufremu, sprowadziwszy jednego z bliskich krewnych do zarządu ogólnego majątkiem, sam udał się do Warszawy, wyłącznego podówczas siedliska nauk w Polsce, i zapisał się do kolegium OO. Jezuitów.

Nie zasmakował atoli w zimnej nauce scholastycznej i nie odpowiadającej dążnościom na-

rodów cywilizowanych zakonu Jezusowego. Zrozumiał, że nauka ma jeno dla ludzkości znaczenie, nie jako abstrakcja, lecz jako narzędzie, jako oręż, jako podstawa żywotna, jako dusza czynu; że tylko wtedy, gdy bierze udział w sprawach i działaniach człowieka, staje się ona płodną mistrzynią; tylko wtedy kładzie na swe skronie wieniec zasługi obywatelskiej. Tyle życia ile w czynie.

Otóż za poradą życzliwych swych znajomych i przyjaciół porzucił scholastyczny zakład i przeniósł się do konwiktu księży Pijarów, do owych wiekopomnych szkół, istniejących w Warszawie aż do czasów powstania 1830 r.

Zakład Pijarów, w smutnych epokach otrętwienia narodu na wszystko, co jest wzniosłe i piękne, w chwilach wygórowanego pedantyzmu i dziwactw, stał zawsze na straży czystości narodowej, budził z uspienia, praktykował czynnie wiedzę, szerząc ją w zastosowaniu do społeczeństwa; gdy Jezuici byli jak owi Kalifowie wschodu, co gromadzili w swych murach kwiat uczoneści, atoli narody ich nie nabyły przez to oświaty, nie stały się postępowymi i rozwiniętymi, gdyż osiadła na dworze bogini nauk mieszkała zdaleka od nich.

Mędrków scholastycznych, co to wlepiwszy oczy w martwe głoski bibulastych arkuszy, od-

wracają się od życia drgającej natury, co to badają księgi a nie przedmioty przez nie opisane, przyrównać można do papug, znających nazwiska, nie zaś rzeczy, lub do orangutanów, przed którymi napróżno leżą dyamenty.

Tomasz Wolski, wzmocniwszy się u Pijarów w naukach oddziaływających promienisto na polskie społeczeństwo, utwierdziwszy się w cnotach obywatelskich, zwrócił na się uwagę ludzi znakomitych, zjednał sobie protektora w osobie Jana Nestorowicza, kasztelana Brzeskiego, męża zarówno w pokoju jak w wojnie wsławionego, którego król mile widywał.

Kasztelan tedy polecił pana Tomasza osobście Augustowi II.

Po zupełnem więc ukończeniu kursów, objawiwszy ostatecznie chęć wyjazdu za granicę celem dokonania rozpoczętych tam prac, z pomocą ludzi znanych z nauk i znaczenia, otrzymał pan Tomasz ułatwienie ku temu zarówno od króla jegomości, jako i prymasa ówczesnego.

Tak uposażony, gdy z bijącym sercem zbliżał się do wrót domowej zagrody, kapelan wyszedł na spotkanie młodego dziedzica z oracyą, kropidłem i wodą święconą, luba zaś Jadwisia z chlebem, miodem i solą.

Wypadki zatrzymały dłużej niż zamierzał naszego bohatera na wsi. Młodzian ten, obdarzony wyższym poglądem, przewidywał nadchodzącą burzę na horyzoncie politycznym Europy, albowiem król polski August II. przyrzekł na elekcji odebrać z rąk tureckich, przy pomocy swego wojska saskiego, Podole i Ukrainę; widział on także niezadowolenie narodu z powodu zawarcia przymierza Augusta z carem Piotrem Wielkim i Fryderykiem IV., królem Duńskim. Dla tego postanowił zostać w domu, zajmując się gospodarstwem, dopóki rzecz wyjaśnioną nie będzie.

I nie pomylił się w domysłach, gdyż August napadłszy na młodego króla szwedzkiego, Karola XII., w celu odzyskania Inflant, pobity i ze sprzymierzeńcami Moskalami i Duńczykami w popłoch rzucony został (1700 r.)

Mężny Karol XII. wszedłszy w granice Polski oznajmił, iż nie z narodem, lecz z jego monarchą dopóty bój toczyć będzie, dopóki nie zmusi go do złożenia korony.

Polacy nie tylko że nie stawiali oporu, lecz pomagali jeszcze Karolowi, gdyż Sas wojnę tę straszną bez woli narodu rozpoczął.

Karol XII. przy pomocy panów polskich zajął tedy bez trudów Warszawę, Kraków, Lwów i Toruń; a trzy wojska: szwedzkie, saskie i

moskiewskie, plądrując po kraju, ogniem i mieczem go pustoszyły.

Nareszcie Karol skłonił sejm polski do złożenia z tronu Augusta, a polecił wybrać na króla Stanisława Leszczyńskiego, którego poznał w czasie tej wojny.

Panowie polscy wypierając się Augusta, wciągnęli do hufców i Wolskiego, okazującego zamiłowanie do wojaczki.

Atoli stało się ślepym trafem wojny, że wstawiony zwycięzca Karol XII. pokonany stanowczo został przez Moskali w pamiętnej bitwie pod Połtawą (1709 r.) i uszedłszy do Benderu oddał się pod opiekę Turcyi.

Wtedy to Fryderyk August dowiedziawszy się o klęsce swojego wroga, wystąpił z Saksonii, odnowił przymierze z Piotrem Wielkim, a nawet zrzekł się Inflant i Estonii za posiłki obiecane przeciw Leszczyńskiemu, zwałił go z tronu i sam na nim osiadł, prześladowając niemiłosiernie wszystkich tych, którzy forytowali niešťczęśliwego Stanisława.

Tak więc młody Wolski, jako popierający w interesie ojczyzny króla rodaka i zmuszony podnieść oręż przeciw swemu osobistemu dobroczyńcy Sasowi, ujrzał się nagle zagrożonym zemstą ostatniego i zmuszonym do natychmiastowego opuszczenia kraju.

I tak Tomasz Stanisław Wolski pierwszy rozpoczął smutny szereg wychodźców polskich, znacząc swojemi stopy pochod tułaczy na cier-nistej drodze ofiar, którą naród miał iść od tej pory.

Przebywszy szczęśliwie Ruś Czerwoną, zna-ne mu Karpaty i Tyrol, dostał się do Rzymu, zkąd postanowił udać się do Jerozolimy.

Otrzymawszy posłuchanie u papieża, Be-nedykta XIII., wyjawił mu swój zamiar. Ojciec św. opatrzył go na drogę błogosławieństwem apostolskiem, wśród licznie zgromadzonego lu-du, zdjętego ciekawością ujrzenia urodziwego i szlachetnej postaci Polaka, mającego odpłynąć na okręcie francuzkim do grobu Zbawiciela.

W Malcie, gdzie zwykle zatrzymują się statki, korzystając z okoliczności przedstawił się pan Tomasz wielkiemu mistrzowi kawalerów mal-tańskich. Ten poznawszy w ziomku naszym żą-dzę nauki i sławy, zachęcał go, aby za po-wrotem z Palestyny obrał sobie stan wojsko-wy. Przypadła ta rada bardzo do smaku Wol-skemu i odtąd nosił się wciąż z tą myślą, różne świetne snując projekta podczas podróży morskiej.

Lecz gdy wśród słodkich marzeń kołysał się młodzieniec wraz z okrętem, wolnemi po-pychanym falami do Archipelagu, nagle silny

wiatr zabębnił szybami w okienku jego kajuty, a czarne chmury poczęły żeglować po niebios sklepieniu.

Stada wron morskich białego koloru (mewy) z piskiem przelatywały. Foki i rozmaitego kształtu ryby blisko okrętu niespokojnie krążyły. Przyglądał się im Wolski wielce zaciekawiony, nie rozumiejąc znaczenia tej przemiany w przyrodzie.

Tymczasem marynarze zaczęli się zbierać na pokładzie i ściągać żagle, składać liny, podnosić barki przyczepione do nawy okrętowej i uprzętać wszystko, co stało luźnie nie przymocowane do pokładzie. Pod pokładem nawet zabrali się do pakowania rozrzuconej tam i owdzie odzieży, strzelb i sprzętów, a czynili to z pośpiechem, jak gdyby zamiarem ich było wynosić te rzeczy na furmanki, aby je powieść na stały ląd.

— Co to wszystko ma znaczyć?! — zawołał zdziwiony pan Tomasz do jednego z krzątających się pilnie majtków.

— To znaczy, mój dobrodzieju, że będziemy mieli burzę — odrzekł spokojnie majtek kładąc do ust tytoniową prymkę.

I niezadługo rozpoczęła się w rzeczy samej straszliwa symfonia rozhukanych żywiołów.

Ale są to cuda przestrzeni, przepaści, nazbyt wielkie, aby można je określić.

Powietrze się nagle ochłodziło. Słońce, gwiazdy, woda, znikły pośród mgły, a okręt, ilekroć razy fale wyniosły go w górę, zdawał się być zawieszony, jakby przed stworzeniem świata, między pierwiastkami ziemi i niebiosami w chaosie bez granic.

Potem mgła się rozpięchła i zawył huragan, jakby rykiem stu niedźwiedzi; bałwany zaczęły się rozbijać o statek, rzucając pianę dokoła, morze wrzało.

Pan Tomasz, chwyciwszy się oburącz żelaznej zapory u wniścia do kajuty, wpatrywał się w ów nieznany sobie, a tak pełen wspaniałości, majestatu i grozy widok burzy morskiej.

Tymczasem trzask okropny masztów, krzyk kapitana i jego pomocnika, wydających rozkazy załodze, zgrzyt roztaczających się łańcuchów, przygrywały na dziką nutę rozkiełznanym żywiołom przyrody.

Zdała zaś gromadziły się brzemienne chmury w jedną masę, zionącą błyskawice i krzyżujące się pioruny.

Uderzył grom tuż obok okrętu. Schyliwszy kornie czoło przeżegnali się marynarze. Potem w dzwonek uderzono, i „Ave Maria”, następnie pieśń psalmów rozległa się na pokładzie.

Atoli na tę odezwę ludzką do miłosierdzia Boskiego wicher odpowiadał złowróżbym świstem, i toczące się olbrzymie kłęby wodniste popychały chwiejający się statek w przestwór nieznanych szlaków.

Ścięto maszty, ostatni to sposób obrony!... i spuszczone kilka kotwic do bezdennej topieli, iżby utrzymać równowagę i zabezpieczyć statek od miotania i wywrotu.

Lecz niestety nic te wszystkie środki ostrożności nie pomogły, bo trąba morską dopóty nim podrzucała, dopóki zgruchotany nie został, i deski zaczęły się odrywać lecąc w powietrze.

Woda, która jeno czyhała na to, rychło się zrobi dziura w nawie okrętowej, wpłynęła tam naraz kilkoma otworami.

Nie było ratunku.

Chwycono za łódź, a chociaż wiatr się naraz zmniejszył, lecz było to już po niewczasie, gdyż okręt kaleka okazał się nie do użycia więcej. Zaledwie zaś załoga zdołała unieść z niego trochę zapasów żywności, odzieży i broni, zatonął w jej oczach.

Nieszczęśliwi rozbitki nasi, w liczbie których znajdował się naturalnie i Wolski, płynąc wolą wiatrów, po pięciu godzinach ujrzeni, niby obłoczek kąpiący się w wodzie. Był to ład,

ale nikt nie wiedział jego nazwiska i położenia. Bądź co bądź, po usilnej pracy wiosłowej zbliżyli się do skalistego brzegu, który przekroczyć zdawało się niepodobieństwem, tak się stromym wydał. Szukali więc miejsca wylądowania, krążąc koło odnogi, aż nareszcie trafili na mały przesmyk, będący ujściem rzeczulki.

Tutaj przybiwszy, wysiedli wszyscy, wciągnęli łódź po rzece i przywiązali ją do grubego pnia odwiecznego cyprysu. Nie znalazłszy zaś nigdzie śladu człowieczego, postanowili rozdzielić się na zwiady, w celu odkrycia dla się jakiegoś schronienia.

Z dziesięciu rozbitków połowa została na miejscu u przystani; reszta, uzbroiwszy się od stóp do głów, jak rycerze średnich wieków, zrobiła wyprawę w głąb kraju.

Duszą tej wyprawy był pan Tomasz, jako obeznany już z wojskowością.

Idąc wolnym krokiem pod górę, nie bez trudności po kilkogodzinnej podróży dostali się na wierzchołek wysokiej opoki, atoli nie tam nie znaleźli, oprócz białego pionowo w ziemię drąga, śladu wypalonego ogniska, kilku wiórów i żerdzi. Naprowadziło ich to na myśl, smutną zaiste myśl, iż ów drag służyć musiał jakimś podobnym do nich nieborakom za osadę

do wywieszenia chorągwi, godła niebezpieczeństwa, wzywającego o pomoc!

Mając z sobą kawałek żagla, zaczęli go i oni na drągu; sami zaś ruszyli dalej, ku leśnej okolicy, gdzie za przybyciem rozłożyli ognisko wśród drzew figowych, pomarańczowych i daktylowych.

Postanowiwszy tutaj spocząć, dali kilka umówionych wystrzałów na znak pozostałym u brzegu towarzyszącej niedoli, i wzięli się do postawienia szałasów, jednego ze swoich wysławszy z powrotem przebytą drogą, by sprowadził resztę wyczekującej drużyny.

Dobrze się już zmierzchno, zanim posłaniec zeszedł ze skały, i byłby zabłądził, gdyby nie spotkanie dwóch marynarzy z pozostałych pięciu, którzy na odgłos strzałów zbliżali się w tamtą stronę, wołając co chwila wielkim głosem, aby ich usłyszano.

Zostało jeszcze wprawdzie trzech u przystani, lecz tego wieczora było już za późno sprowadzać ich. Musieli zatem poddać się własnemu losowi, i być rozdzieleni od współbraci zebranych w lesie, jakkolwiek rozdział ten zatrzymał tych ostatnich.

Towarzysze leśni urządzili wartę między sobą, zmieniając się kolejno, gdy spać będą. Ponieważ Wolski miał zegarek, zawiesił go na

drzewie dla użytku wartowników, i sam pierwszy wzięwszy nabitą strzelbę na ramię, odbywał straż nad chrapiącymi z utrudzenia kolegami. Za godzinę zbudził jednego z nich, by go zluzował, i tak szło dalej.

Lecz skoro przyszła kolej na ostatniego, który stał już zrana, ten usłyszawszy niespodzianie szelest w krzakach, chwycił za broń, odwiódł kurek i zmierzył w stronę, gdzie się poruszały gałęzie, a postrzegłszy prześlicznej barwy ptaka, ukazał go jednemu z niespiących już majtków; lecz ten wykrzyknawszy z przerażeniem: „Fa on! „fa on! zawołał na alarm.

Rzecz cała, że piękny ptak „fa on“, którego widywał w Indyach, (zapewne nazwa to indyjska), wedle zdania tego doświadczonego marynarza miał być zwykłym towarzyszem tygrysów.

Drużyna nasza, zerwawszy się co tchu z łożyska na taką niespodziankę, stanęła w szuku bojowym, oczekując na drapieżnych nieprzyjaciół. I stało się, że nie długo czekała. Za chwilę wychylił się z pomiędzy zarośli centkowany łeb z iskrzącymi oczyma okrutnego zwierza.

Wolski, ufny w swój strzał, nie namyślając się, wypalił najpierwszy i przeszył kosmatego przybysza, ale nie śmiertelnie. Zakręcił się on na miejscu, ryknął straszliwie, wspiął

się na dwie łapy i natężonym skokiem rzucił na jednego z majtków rozpierchającej się drużyny.

Majtek się pochylił, nóż tylko błysnął w jego ręku, nóż i zwierz zetknęły się w powietrzu, majtek i zwierz upadli na twarz.

Lecz pierwszy powstał, wprawdzie zadraśnięty łapą tygrysią, zawsze jednak powstał z chwałą, gdy jego wróg kosmaty konał z rozprutym brzuchem w ostatnich podrygach.

Coby to dał za taką przygodę Branicki!...

Marynarze zbliżyli się do nieboszczyka z zamiarem ściągnięcia z niego skóry, atoli obaczywszy, że był samicą, znowu krzyknęli na alarm i w oka mgnieniu uszykowali się do powtórnego boju, niebezpieczniejszego niż poprzedzający; wiedzieli bowiem, że tygrysia płęć męzka zbiega się na ryk samicy.

Jakoż nie upłynęło kilka minut, gdy usłyszano łomot gałęzi, całe stado przybywało jej na pomoc.

Naszym biedakom pozostało tylko powłazić na drzewa, co też szybko uczynili, śledząc każdego ruchu czworonożnych nieprzyjaciół.

Gromada nadbiegła wprost do świeżo poległej towarzyszki swojej, którą obwąchawszy ze wszystkich stron, zawyła przeraźliwie, i nuż się ogłądać na drzewa!...

Wolski dał znak, kule posypały się po tygrysach. Kilka sztuk z nich padło, lecz reszta rozjuszona tylko, została do zwalczania.

Zdążono nabić broń powtórnie i drugi raz dano ognia, lecz Bóg wie, jakby się ta krwawa scena skończyła, bo pozostałe przy życiu tygrysy wdrapywały się już na drzewa, gdyby po chwili nasi obleżeni nie usłyszeli nowych kilku strzałów, nie domyślając się zrazu z kąd pochodzić mogły. Na ten raz padły trzy tygrysy, a pozostały jeden niedobitek, widząc się wziętym we dwa ognie, uciekł w głąb lasu.

Niespodziewana ta pomoc pochodziła od towarzyszy rozbitków, którzy zbudziwszy się o świcie u przystani, uważali za stosowne opuścić stanowisko, a idąc śladem swych poprzedników, znaleźli ich nakoniec w rozpaczliwym położeniu i pospieszyli im na ratunek.

Jakaż była radość drużyny, gdy się ujrzała ocalaoną! Postanowiła ona nie rozdzielać się od tej pory i wspólnie znosić przygody zawistnego losu.

Następnie modlono się z dziękczynieniem pod podwojną bramą ze wstęgi tęczowej.

Po odbyciu walnej rady, wzięto się przede wszystkim do ufortyfikowania miejscowości, jako rzeczy najważniejszej w zagrażającej sytuacji. Sprowadziwszy liny z łodzi, połączono za

pomocą tychże dwa wierzchołki skał i urzędowo wiszący mostek zwodzony, po którym przechodząc z jednego punktu na drugi, łatwiejszą stałaby się obrona w razie napaści; a na wypadek wkroczenia i tam dzikich zwierząt, odwiązanie lin mostowych z jednej strony popchnęłoby je do otchłani.

Na tych skałach, z kądem widok cudowny roztaczał się na morze, zbudowano siedziby, podobne do gnieździska orłów, które zarazem służyły naszym rozbitkom za obserwatorium nad całą okolicą. Futra tygrysie dostarczyły im miękkiego łoża; potrzeba tylko było zrobić wyprawę w celu zaopatrzenia się w świeżą żywność...

Że zaś Wolski odznaczył się niepospolitą odwagą i posiadał doświadczenie wojskowe, a w radzie rzuconych na nieznaną ziemię marynarzy przewyższał wszystkich trafnością zdania i swoją praktycznością, załoga przeto, nie wyłączając kapitana zatopionego okrętu, wybrała jednogłośnie ziomka naszego za przewodnika, przysięgłszy mu bezwarunkowe posłuszeństwo.

Osada rozbitków, zorganizowawszy się jak mogła na pustyni pod przewodnictwem Wolskiego, zabezpieczywszy przedewszystkiem mieszkanie od gadów i płazów przez obicie podsta-

wy jego blachą, zdjętą z barki, i osmarowanie jej tłustością, poczęła wysyłać swoich na łowy.

Dwóch obywateli tej małej kolonijki, którzy byli niegdyś rybakami, zanim zostali majtkami na okręcie, posłał pan Tomasz dla łowienia ryb na brzeg morski, czterech zaś wprawnych myśliwych do lasu, celem wytropienia zwierzyny; a reszta została na posterunku.

Pan Tomasz, przewidujący wszelkie potrzeby nowej osady, zrobiwszy rewizyą zasobów, które im się udało ochronić od topieli, postrzegł, że może jej zabraknąć prochu strzelniczego, będącego tak ważnym dla niej artykułem. Zasmucił się z początku wielce tem odkryciem; znalazłszy atoli wkrótce znaczną ilość siarki, a znając jeszcze ze szkół pijarskich naukę chemii, umyślił przygotowywać saletrę i urządzić własną fabryczkę prochu.

Gdy tak zajęty wszechstronnemi badaniami, rozglądał raz przez dalekowiedz przestwór morski i wybrzeże lądu.

— Dymi się... dymi! — zawołał z uniesieniem do towarzysza, podając mu lunetę.

Ten wziął ją, a przyłożywszy skwapliwie do oka:

— Dymi! — powtórzył z powagą.

— Dymi — zawołali oba, spoglądając na siebie.

W samej rzeczy, kłęby dymu wznosiły się do góry w kilkomiłowym oddaleniu. Marynarze wnieśli ztąd, że tam muszą być ludzie lub wulkan nadmorski. Ale p. Tomasz, choć nie posiadał mapy żeglarskiej, przekonał ich łatwo, iż ani Etny ani Wezuwiusza widziećby nie mogli z punktu swojego obserwatorium, i że prawdopodobnie byli tam ludzie... ale jacy ludzie?... Oto sęk do rozbicia.

Cokolwiek bądź, nazbierano szybko mchu i położono na ognisko, aby także wysokim słupem dymu dać nieznanym znak życia swojego.

Tymczasem nad wieczorem wróciła z polowania drużyna i przyniosła z sobą ubite ptactwo, ryby, zwierzynę, owoce, i mówiono między sobą radośnie, że jeszcze śmiercią głodową nie zginą.

Upieczono młodą lamę, a resztę dziczyzny zachowano w jaskini, zastępującej miejsce piwnicy.

Ziomek nasz polecił, aby na przyszły raz postarano się o przyrowadzenie lamy żywcem, i sam także poszedł z kolei na łowy. Wyszukano gniazdo lamiać. Chciano je wzięść, lecz rządca (tak nazywano Wolskiego) nie dozwolił; kazał tylko naznaczyć to miejsce, później obciągnąć sieciami i przy otworze czatować, żeby

młode się nie wymknęły, gdy zaś przyjdą do nich stare, zabrać ród cały.

Chociaż lama pomimo wrodzonej łagodności jest dzikiem i strachliwym zwierzęciem, plan powyższy udał się w zastosowaniu doskonale.

Schwytana z dziećmi samica, obłaskawiona wprędce i wypuszczona sama na wolność, przychodziła do osady w towarzystwie innych lam odwiedzać swoje małe, pozostawione od piersi niewolniki, znosząc im pożywienie.

Gdy powoli przywykły do ręki człowieczej, zaczęto je doić. Tak więc nie zbywało i na mleku zabłąkanym wędrowcom.

Z tem wszystkim tęsknota, trawiąca jak toczący robak dusze tych nieszczęśliwych, coraz dotkliwiej czuć im się dawała.

Tęsknota! Wyraz ten na żaden język przetłumaczyć się nie da. To ocean wrący mękami!

Gdy właśnie w takich mękach pogrążony rządcą, leżąc samotnie w cieniu drzew figowych, dumal o bezkorzystnem marnowaniu drogiego czasu na bezludnej ziemi i o sposobie ratunku, a dwie wielkie łzy spływały mu po licu, słyszy zniecka, iż ktos cienkim głosikiem woła na niego: „Venez chez moi! mon cher, venez!”

Zdało mu się rozpoznać głos kobiety, ukochana siostra Jadwisia przysłała mu na pamięć, zerwał się na równe nogi i obejrzał.

Cisza i pustynia dokoła.

W zachwycie przywoływać zaczął nieznaną pocieszycielkę.

Cierpkie rozczarowanie! Pokazało się, że tą pocieszycielką była oswojona papuga, co uciekłszy z klatki jakiejś zalotnicy francuskiej i przyleciawszy w rodzinne strony, chustając się przyczepiona szponami do zielonej gałązki, zawołała figlarnie po raz wtóry do p. Tomasza: „Pójdź do mnie, mój drogi!...”

Nazajutrz powracający z kniei strzelcy przynieśli lewka i samiczkę, dwa żywe szczenięta. Tego tylko nie dostawało osadzie! Przekonano się, że nie tylko tygrys, ale i lew, dwóch tyranów, co się rzadko trafia, panuje w jednej okolicy. P. Tomasz przewidywał, że niebawem stare puszcza się w pogoń, i że nie łatwo będzie opędzić się od natręctwa nieproszonych gości; przewidywali to wszyscy, atoli pragnąc za jaką bądź cenę przygód, coby urozmaiciły jednostajność ich żywota i nudów śmiertelnych, zatrzymali u siebie szczenięta. Nie miała, jak to mówią, baba kłopotu, kupiła sobie prosię!...

Jakoż powracająca do legowiska lwica, nie znalazłszy dzieci, zawyła, przybyły jej inne lwy

na pomoc, i natychmiast za wężem rzuciły się w stronę osady, rycząc ciągle, gdy jednocześnie szczeniaki wzięte do niewoli skomleniem im odpowiadały. Chciano je podusić, lecz pan Tomasz zabronił. Słowem, szukał przygody!

Lwy pokazały się z drugiej strony zwozonego mostu, z którego pozostały tylko liny, bo pomost był ściągnięty. Wolski dał strzał i zapewne ranił którego króla zwierząt, bo wszystkie dowiedzione do wściekłości próbowały po naprzężonych linach dostać się do fortecy; atoli gdy jeden wdrapał się na nią, popuszczono ją luznie, i lew nie mogący się utrzymać, padł do przepaści.

Pozostałe zaczęły się rozpędzać, jakby w zamiarze przeskoczenia otchłani; lecz zatrzymywały się u krańca, nie czując się na siłach ku temu.

Potem całe stado naraz zawróciło się i znikło, jakby na komendę, a za chwilę ukazały się grzywiaste karki w głębi wąwozu. Lwy wspinały się z dołu na stromą skałę, chociaż częstowano je z góry ostremi pociskami.

Po długiej utarczce zapieniony nieprzyjaciel ustąpił wprawdzie z placu boju, pozostawiwszy swoje młode, ale nie zaprzestał czatować około tego miejsca, pałając żądzą zemsty, i o ile dątał dość spokojnie nasi odbywali swoje wy-

cieczki, o tyle zagrażało im odtąd pożarcie, bo lwy ciągle czyhały na przeciwniej skale, mając ich na oku.

Drużyna zmuszoną się ujrzała nie przechodzić mostu, lecz spuszczać się wprost ze skały za pomocą kilku sznurowych drabinek, ilekroć razy wypadła jej potrzeba udania się w głąb kraju. Pomimo to zdarzyło się, że jeden z jej członków nie zdążył w odwrocie chwycić za ostatni szczebel drabinki, gdy lew wartujący w głębi wąwozu ściągnął go i rozszarpał.

Musiano zrzucić pychę z serca i spuścić szczenięta, gdyż dopiero wtedy zawzięte zwierzęta odstąpiły od obłąkania.

Wolski, rozmyślający bez przerwy nad losami osady, chciał ją wreszcie wyprowadzić z miejsca, aby płynąc wybrzeżem zbliżyć się do punktu, gdzie dym się ukazywał, bo lądem to uczynić było niepodobieństwem. Lecz po odbyciu rekonesansu pokazało się, iż zamiar ten przedstawiał jeszcze większe niebezpieczeństwo z powodu nieuniknionych potyczek ze zwierzętami ziemno-wodnymi.

Musiano się więc uzbroić w cierpliwość. W każdym razie położenie było rozpaczliwe.

Gdy zamysłony i cierpiący p. Tomasz siedział pewnego dnia na murawie przy linach mostowych, dostrzegł nagłego drgnięcia jednej,

a następnie nieznaną dotąd zjawisko przedstawiło się oczom jego. Oto poczciwy orangutan skakał sobie zabawnie po linie.

I pomimo biedy swojej, pan Tomasz nie mógł się wstrzymać na ten widok od śmiechu.

Rzadko dramatu bez ustępów komicznych.

Orangutan obaczywszy, może pierwszy raz w życiu, najwięcej zbliżone podobieństwem do siebie stworzenie, zatrzymał się w pochodzie, począł się ciekawie przypatrywać ziomkowi naszemu, lecz nie postąpił naprzód, ale oglądał się odtąd ciągle po za siebie.

Nasi postanowili złować go na arkan, atoli ów leśny dziki człowiek tak zręcznie chwycił zarzucony nań sznur w powietrzu, że nic mu nie mogli zrobić. Żywcem wiaść go było trudno, a strzelać nie okazała się potrzeba.

Po daremnych wysileniach zostawiono jednego z naszych na czatach w wykopanej na ten cel jamie; reszta zaś odeszła na stronę, spodziewając się, że może małpa łaskawie raczy zajść do nich w odwiedziny dobrowolnie.

Ten środek był najlepszym, bo gość wkroczył niezadługo na ich skałę. Tymczasem liny od mostu ściągnięto, a kosmatego jegomości w urządzonej na niego zasadzce pojmano.

Przestraszony, był z początku w nader złym humorze, później zaś widząc, iż mu nic

złego nie robią, i że nieznana mu rodzina przyjmuje go bardzo uprzejmie, karmiąc czem tylko chata bogata, wrędcie się spoufalił. W końcu obaczywszy, że go inne małpy przywołują z przeciwległej skały, dał poznać chęć odejścia.

Natychmiast, na żądanie tak wielce szacownego gościa, wyciągnięto dlań linę, on zaś pobiegł do swoich, niby wprawny gimnastyk.

Lecz nie upłynęło kilka godzin, aż tu ni z tego ni z owego całe towarzystwo orangutanów wsunęło się na linę, pod przewodnictwem naszego znajomego.

Pan Tomasz uznawszy za niestosowne dozwolić całej gromadzie wniknięcia, kazał nanowo ściągnąć liny, i natrętne małpy musiały się cofnąć. Objawiły one dopiero wtedy złe zamiary, usiłując wyrwać te liny dla wzięcia ich sobie, jak się zdawało. Koniec końcem dano do nich ognia i wprawiono w popłoch po lesie. Ubito nawet jedną, której skóra znajduje się podobno dotąd w gabinecie zoologicznym w Neapolu.

Tęsknota połączona z troskami o byt codzienny coraz bardziej naszą drużynę opanowywała. Modliła się ona i dokładała coraz więcej i więcej mchu do palącego się bez ustanku ogniska, będącego jedynym zwiastunem o jej smutnym na szczycie skały pobycie.

Niespodziewanie wystrzał armatni rozległ się stokrotnem echem po wąwozach i gardzielach skalnych.

Wybiegli wszyscy z krzykiem na brzeg morski i ujrzeni okręt wojenny z banderą wenecką, przybywający im na ratunek.

Ktoby udoskonalił szkła do tego stopnia, iż obaczyłby ludzi na jakim planecie, nie ucieszyłby się tyle, ile nasi rozbitki owej uroczystej i pamiętnej chwili.

Wolski odpowiedział sygnałami karabinowemi hukowi działowemu. Na ten znak wysłano z okrętu łódź, a p. Tomasz posłał ku niej swych parlamentarzy z białą chustką zaczeponą na drążku.

Porozumiawszy się wzajemnie, spisano na prędce miejscowe wypadki, zakopano opis przy wbitym pału dla nauki nieszczęśliwych, którzyby ulegli podobnemuż losowi, zabrano z sobą skóry pozabijanych zwierząt i przeniesiono się na okręt, który rozwinąwszy wspaniałe żagle, ruszył dalej.

Kapitan wenecki dowiedziawszy się od ocalałych, iż właściwym ich komendantem na skale był p. Tomasz, nie omieszkał zbliżyć się do niego, a poznawszy w nim wysoką naukę i zdolności, przewidując, iż ten człowiek jest na

drodze do wyższych przeznaczeń, poczuł dlań wysoki szacunek i wkrótce stał się jego szczerym przyjacielem.

Rodak nasz dowiedział się wtedy dopiero, iż burza zapędziła go była z towarzyszami na brzeg Afryki; a kiedy okręt zbliżał się do punktu, z którego słup dymu zwracał często uwagę rozbitków, wypłynął z załomu skały inny ogromny statek, który lotem ptaka pędził bez dania żadnego sygnału, ani wywieszenia bandery, do okrętu weneckiego.

— Korsarze! — zawołano na okręcie.

I nie zdążono zapalić lontów, kiedy już rozbójnicy morscy powitali ich ogniem działowym.

Rozpoczął się bój zajadły.

Kapitan dał hasło odwrotu. Korzystając z tego herszt korsarzy, tem silniej nacierał na uciekinierów i uderzył na nich tak gwałtownie, że boki dwóch statków zetknęły się z sobą.

Okręt wenecki wyraźnie przegrywał sprawę. Widząc to Wolski, wskakuje z najodważniejszymi swymi kamratami do łodzi, zabiera tył napastnikom, wydobywa się na ich pokład i roznosi mord straszny między wziętymi we dwie kolumny korsarzami.

I tak sława oręża obróciła się nagle na drugą stronę. Wenecyanie nabrawszy otuchy,

zaczeli za przykładem Wolskiego słać trupem pobojuwisko. Nikomu z załogi rozbójniczej uciec nie dozwolono.

Ale rozpaczliwa zemsta tej ostatniej nie miała granic. Herszt jej, choć ranny, poskoczył korzystając z zamętu pod pokład i kazał tam wymordować swoim niedobitkom wszystkich powiązanych jeńców chrześcian, których uwoził z sobą.

Jęki i krzyki bóleści zabijanych ofiar uderzają słuch Wolskiego. Domyśla się on jakiejś krwawo-tragicznej sceny. Nie tracąc czasu wpada do kajut i postrzega nad głowami bezbronych jeńców błysk jataganów muzułmańskich. Wtedy zadaje ostatnie ciosy zbrodniarzom, chwytając żywcem herszta, zmusza resztę do złożenia broni i wydobywa z pęt niewoli przeszło stu Francuzów.

Ci ukłękawszy społem przed swoim zbawcą, złożyli mu dziękczynienia w imieniu swoim i nieobecnych rodzin swoich.

Wolski stał się od razu panem skarbów złupionych przez korsarzy na wielu podbitych okrętach, oraz zdobywcą ich statku, co mu przyznała cała załoga wraz z oswobodzonymi jeńcami, zapraszając jednogłośnie do naczelnego dowództwa nad nimi.

Nie zastanawiając się tedy długo, przyjmuje je i wypływa śmiało na pełne morze, kieruje rudlem przytomnie, jakby wprawny żeglarz, czuwa dzień i noc nad swoimi pomocnikami, aż nazajutrz spotkawszy się z flotyllą francuzką, wywiesza flagę wenecką i za pomocą oznak przyjacielskich zbliża się do nieznanym marynarzy. Ci, dowiedziawszy się o wszystkim, walą z dział na cześć młodego bohatera Polaka i na żądanie przyłączają jego okręt do swojej flotyli.

Sława ziomka naszego przechodząc szybko z kraju do kraju, okryła imię jego chwałą na morzu i lądzie.

Flotylla francuzka zdążyła wówczas na oblężenie miasta Sydonu. Wolski należąc do tej wyprawy, odznaczał się jak zawsze niezwykłym męstwem i dzielnością umysłu. Gdy zaś przy skutecznej pomocy jego ramienia Sydon zmuszony był kapitulować, pasowano go na rycerza.

I tak rozpoczął on długi szereg tych wielkopomnych mężów, którzy jako wygnańcy i tułacze przelewali krew swoje i zwyciężali w sprawie Francuzów.

W r. 1726 przybył nakoniec p. Tomasz do Jerozolimy, miejsca swych pragnień, a zwiedzając tam stacye pielgrzymki boskiego Prawo-

dawcy, poznał się z uczonym misyonarzem. Po krótkiej z sobą rozmowie dowiedzieli się, iż są obydwaj synami jednej ukochanej matki: Polski. I rzucili się sobie w objęcia, niby sieroty, co się spotykają zdala od rodzinnej strzechy.

Misyonarzem owym był znany swojego czasu orientalista, Jakób Krasieński, wracający właśnie z Persyi, gdzie piętnaście lat przebywał.

Odtąd przez długi czas trzymali się razem, odbywając swoje peregrynacje na wschodzie przy uzbrojonej i zaopatrzonej we wszelkie potrzeby do przebywania pustyni karawanie.

Pomimo to byli raz napadnięci przez koczujących w znacznie przeważnej liczbie Arabów i zabrani do niewoli.

Ci dzicy synowie puszczy łagodnie się z p. Tomaszem obchodzili, uważając go za naczelnika karawany i spodziewając się za niego znacznego okupu. Uradowani świetnym podbojem niewiernych giarów (jak ludy wschodnie nazywają chrześcian), rozłożyli obóz, porozbijali namioty, nad wziętymi w jasyr i powiązаныmi, z wyjątkiem Wolskiego, straż postawili, a sami już się weselić przy smutnych dźwiękach surmicy, wśród uczy, w której upajający kumys, to jest kobyle mleko doprowadzone do

fermentacyi, tudzież pieczone źrebięta, główną odgrywały rolę.

Skończyło się na tem, że wkrótce bisurmani wraz ze swoją strażą tak się popili, że padłszy na ziemię, bohaterskim snem chrapać poczęli.

Wolski, który przez cały ciąg plugawej bachanalii nie spuścił z nich oka, śledząc najmniejszego ich giestu, dobył nożyka, przeciął najbliższemu jeńcowi więzy, ten toż samo uczynił następnemu, dość na tem, że wszyscy stanąwszy na nogi, podpalił namioty z hordą, a sami na jej koniach umknęli.

Szcześnie dopadli do miasta i tam zażądali posiłków od rządcy maltańskiego, w celu ścigania bandy muzułmanów. Rządca kazał wystąpić natychmiast całemu oddziałowi wojska pod rozkazy Wolskiego, i ten puściwszy się z nim w pogoń, dognał bandę, rozbił, a odebrawszy zapasy swojej karawany i oprócz tego wiele zdobyczy, i wzięwszy niewolników Arabów, tych ostatnich odesłał pod konwojem do miasta, z wyjątkiem dwóch, których użył dla siebie za przewodników. Co się tyczy hana, zabranego także wraz z innymi, z tym obszedł się łaskawie, wywzajemniając się za grzeczne traktowanie osobiste, jakiego doznał w jego obozie.

Tomasz Wolski zwiedziwszy jeszcze Egipt i Aleksandryę, wrócił do Rzymu, około r. 1730.

Ojciec św. za rycerskie jego czyny, za oswobodzenie chrześcian, udarował go, jako pogromcę korsarzy tunetańskich i rozbójników karawanowych, złotym krzyżem kawalerów jerozolimskich, z zapisaniem jego imienia w archiwum wiecznego miasta.

Za przybyciem do Francyi i Anglii witano go tryumfalnie.

August II. dowiedziawszy się o tych wszystkich zaszczytach, powołał go do kraju.

Ale nie długo się p. Tomasz cieszył po-
bytem na ojczystej ziemi, bo nie upłynęło dwa lata, gdy papież, wszechpotężny jeszcze w o-
wej epoce, wydawszy wojnę Turkom, zawa-
zwał do siebie naszego ziomka i poruczył mu
admiralicją swej floty, na którą podczas bitwy
zwróconą była uwaga całego świata, rokując
najsławniejszą wygranę.

Wolski i tu nie zawiódł zaufania publicz-
nego, bo skoro tylko wypłynął jako admirał
na morze Śródziemne, taką wzbudził odwagę i
wiarę w powodzenie w swych podkomendnych,
a taką trwożę w nieprzyjaciółach, iż przy pier-
wszym ataku pierzchnęli przed wstawionym je-
go orężem.

Przy pomocy ksiąząt włoskich, którzy hołdując nowemu admirałowi oddawali się chętnie ze swemi okrętami pod jego rozkazy, imię jego stało się wkrótce straszmem dla bisurmanów.

Zabezpieczywszy więc okręty kupieckie od grabieży, ułatwił handel, a podpłynawszy w Dardanele, zagroził Wolski murom Konstantynopola.

Już wielki wezyr upadłszy na duchu byłby się niezawodnie poddał, już Europa, uszczęśliwiona odebraniem kluczy od grobu Zbawiciela, przyklaskiwała admirałowi i Benedyktowi XIII., gdy zawczesny zgon ostatniego zmienił postać rzeczy, bo następca na tron papieżki, Klemens XII., odstąpił od wojny, a flocie swojej rozkazał płynąć ku Indyom.

Jedyna korzyść, jaką p. Tomasz odniósł nad Portą, była ta, że grożąc jej blokadą stolicy, wytargował od niej mnóstwo jeńców obojga płci, różnej religii i narodowości. Pomiedzy nimi byli Polacy i Polki z szlacheckich rodzin, które zostały zabrane w jasyr jeszcze młodemi panienkami. Znajdowały się tam także dwie osobistości, zasługujące na szczególną wzmiankę. Pierwszą z tych był Józef III., patriarcha babiloński i haldejski, którego Turcy trzymali jako zakładnika, drugą syn sąsiada samegoż Wolskiego, który zwierzył się admirałowi, iż strzeliste afekta jego serca zwrócone

zawsze były ku jego siostrze, pannie Jadwidze, ale ~~te~~ nie śmiał się z tem oświadczyć, dopóki nie spełni ciężącego na nim w obronie ojczyzny obowiązku.

Admirał przyrzekł mu porozumieć się w tym względzie z Jadwisią, tymczasem zaś polecił mu odwieść rodaków na brzegi włoskie a z tamtąd do kraju. Napisał jeden list do matki i siostry, a drugi otwarty do władz wszelkiego rodzaju, mający służyć ziomkom za paszport i kartę bezpieczeństwa, przedstawił ich kapitanowi okrętu weneckiego i dał pieniądze na drogę.

Józef III. popłynął z Wolskim.

Udali się do Bramaputry, poznali zwyczaje i obyczaje pogrążonych w ciemnocie i barbarzyństwie Indyan, a ztamtąd wzięła ich ochota popłynąć do wzbudzającej nadzwyczajną ich ciekawość piątej części świata: Australii.

I nie pożałowali tego zamiaru, bo za przybyciem tamże obaczyli nieznanę sobie dziwo, ludzi w stanie natury, co zbliżyli się do nich przy wylądowaniu z pałkami i oszczepami.

Na widok ich Wolski ze swoimi zarzucili strzelby na ramię; dzicy pochowali też swoje kije i oszczepy na znak pokoju.

Admirał przemówił do nich wschodnim językiem, lecz odpowiedzieli mu piszczeniem, młaskaniem i krzäkaniem.

Admirał proponował im tedy na migi, aby udali się z nim do miasta, gdzie dostaną mieszkanie, odzież i jeść, i pokazał kawał białego chleba i pieczeni.

Wyrazili wielką ochotę pokosztowania tych łakoci, ale obawiali się zbliżyć. Wtedy rzucono im pokarm, a oni zaczęli go sobie wydierać jak zwierzęta.

Marynarze uznali za stosowne, skorzystać z chwili i cofnąć się do swych zarzuconych na kotwicy okrętów przed liczną tłuszcą obrzydliwej budowy ciała wyspiarzy; co ci spostrzegłszy, zaczęli rzucać za odchodzącymi oszczepami, kamieniami i kokosowemi orzechami, atoli obyło się bez wystrzału.

Nasi po drodze schwycili u krańca lasu jednego z dzikich, który za nadejściem ich porwał się z legowiska w kotlinie starego drzewa, ratując się ucieczką, lecz nie mógł spieszyć, gdyż chromał na jedną nogę.

Zdawał się on prosić, aby go puszczono, i objaśniać, jako już raz biali ludzie polowali byli na niego, że nawet mieli taką samą broń jak Wolski z towarzyszami, i że oni to postrzelili go w nogę.

P. Tomasz obchodząc się z nim jak najłagodniej, zdołał kalekę skłonić do udania się z naszymi do osady francuskiej, gdzie go władza

tameczna wzięła pod swą opiekę, dając wszelkie wygody i ucząc języka, który Australczyk pojmował i dobrze wymawiał, czyniąc znaczne postępy.

Ale, jak to mówią, natura wilka do lasu ciągnie, i Australczyk wkrótce umknął do swoich.

Po tylu podróżach i przeróżnych przygodach, turysta nasz powrócił nakoniec z Józefem III. do Europy, i dostał się szczęśliwie do Zółkwi, gdzie nader gościnnie podejmował ich w swym zamku królewicz Jakób Sobieski; a za przybyciem do Lwowa hojną dla nich wyprawili ucztę panowie polscy, w czem odznaczali się hr. Potoccy.

Rozczulającym być musiał zaprawdę widok, kiedy sędziwy starzec, Józef III., mający powrócić do Rzymu, dziękował ze łzami w oczach Wolskiemu wobec liczного grona biesiadników, za wybawienie go z tak długiej u pogan niewoli.

Admirał powrócił nareszcie po bojowych trudach do rodzinnej zagrody, gdzie wydał za mąż ukochaną Jadwisię za młodziana, z którym już zapoznaliśmy czytelnika; aż tu Klemens XII. wzywa go za pośrednictwem króla jęgomości, aby odbył wraz z patryarchą wjazd tryumfalny do Rzymu.

Nie mógł on oprzeć się tej pokusie. I wtedy obdarzony został honorową szpadą, jak świadczą zapiski dziennika Wolskiego, wydane w r. 1777, tudzież akta papieżkie, gdzie znajduje się opis szczegółów peregrynacji Tomasza Stanisława Wolskiego do Ziemi św., jako też jego wjazdu do Rzymu. Po dopełnieniu czego, odjechawszy do domu, spoczął na swych wawrzynach, i życia, ojczyźnie i sławie poświęconego, w spokoju dokonał.



Spis rozdziałów

w tomiku II.

	Strona
I. Przed pomnikiem J. J. Rouss'a. — Legendy szwajcarskie	5
II. Złe duchy i święci Pańscy. — Piłat Poncki	21
III. Polacy w Piekiełku	35
IV. Tajemnice Piekiełka	51
V. Szczęście kołem się toczy	65
VI. Osada na obczyźnie. — Frankfurt i piękna Aryadna	83
VII. U kolosu Goethe'go	99
<i>Przygody Tomasza Stanisława Wolskiego, admirała floty papieżkiej (rys historyczny)</i>	109



SPIS DZIEŁ J. GORDONA.

- I. *Obrazki caryzmu. Pamiętniki.* — Biblioteka pisarzy polskich, Tom VI. — Lipsk, 1863. Brockhaus.
- II. *Soldat. Nowe pamiętniki.* — Biblioteka pisarzy polskich, Tom XXXIII. — Lipsk, 1865. Brockhaus. («Dziennik literacki».)^{*)}
- III. *Kaukaz, czyli ostatnie dni Szamyla. Powieść historyczna.* — Biblioteka pisarzy polskich, Tom XXXIV. — Lipsk, 1865. Brockhaus. («Czas».)
- IV. *Przechadzki po Ameryce.* — Berlin, 1866. Behr.
- V. *Podróż do Nowego Orleanu.* — Biblioteka pisarzy polskich, Tom XLVIII. — Lipsk, 1867. Brockhaus. («Przegląd polski» w Krakowie.)
- VI. *Obrazki galicyjskie.* — Sanok, 1869. Pollak. («Mrówka».)
- VII. *Szkice i ramotki.* — Lwów, 1870 Seyfarth i Czajkowski. («Reforma» sanocka.)
- VIII. *Grzechy Krystyny hiszpańskiej. Powieść.* — Lwów, 1870. Richter. («Dziennik lwowski».)
- IX. *Gdy się było młodym.* — Biblioteka pisarzy polskich, Tom LXIII. — Lipsk, 1871. Brockhaus. («Strzecha».)
- X. *Turysta z musu.* — Lwów, 1873. Bodek.

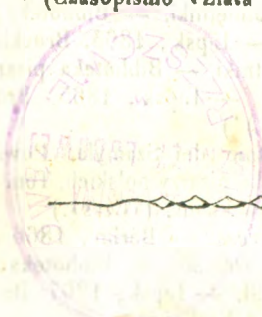
^{*)} Tytuł dziennika w nawiasie oznacza, iż dzieło było drukowane i w tymże dzienniku.

XI. *Meine Kerker in Russland.* — Leipzig, 1863. Kollmann. (Wanderer.)

XII. *Sechs Jahre in Orenburg* — Dresden, 1864. Wolf.

XIII. *Mes Prisons, ou l'exil en Sibirie. Mémoires.* — Genève, 1862. Cherbulier.

XIV. *Soldat w przekładzie czeskim, z portretem autora.* — (Czasopismo «Złata Praha», 1864.)



240 —

576684

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

163522

Biblioteka WSP Kielce



0124737